13,000 abonentów!

Nr. 3. Rok VII.

Poznań, Niedziela dnia 18-go Stycznia 1903.



Tygodnik illustrowany.

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m., na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 39.

Telefon Nr. 1246. Telefon Nr. 1246.

22-go Stycznia.

Ostatnia i najsmutniejsza rocznica narodowa...

A jednak wypadki 1863 roku ani nie wcisnęły nas do trumny, ani nawet nie powaliły o ziemię...

Żyjemy, choć życie nasze całe ręce wrogów skrępowały tak, że skarga nie może wybiedz na usta...

Bez skargi żyć można — bez wiary i pracy niepodobna. Więc wierzmy i pracujmy, a przyszłość nasza.

Nie mierzmy drogi, czy ona do tej przyszłości bliska, czy daleka — wierzmy tylko, że idąc nią, zajdziemy tam, gdzie naród zajść musi, choć go obedrą z państwowej potęgi, jeżeli w duszy jego żyją ideały prawdy, miłości i sprawiedliwości dla wszystkich. — Bez tych szerokich podstaw etycznych, chocibyśmy utyli ekonomicznie, schudniemy politycznie i narodowo tak, że nas połknie każde zwierze obciągnięte ludzką skórą....

Że tak się nie stanie — wierzymy w to, jak w Boga, który w Swej mądrości, sprawiedliwości i miłości jest niezbadany i równie dla gnębiących ma zaranie promieni słońca, jak dla gnębicieli koniec na skrzydłach ciemności.....

Vester.

Na karnawał.

Długi w tym roku mamy karnawał, bo blizko siedmiotygodniowy, aż do 25-go lutego. Jest to pora, w której cały świat cywilizowany szczególnie szumi i hula, w której zresztą wolno wyhulać się. Słynęły dawniej w całej Europie nasze polskie zapusty ze swemi hucznemi kuligami, ze swą ochoczością i fantazyą. Odwykliśmy już wprawdzie od tych zapust staropolskich, nieszczęścia ojczyzny pozbawiły nas hulaszczości i fantazyi, bieda napomina do oszczędności, lecz i nas woła i wabi zawsze jeszcze urok karnawałowy.

Czyż wolno mu dać folgę także w tym roku?

Dużo jest między nami pesymistów, którzy radzą raz na zawsze pochować wszelkie uciechy i zabawy, przywdziać kir żałoby i w tym kirze rozmyślać tylko zawsze i wszędzie o przyszłości, o tem jak ją ocalić od zguby. Przyznać im trzeba racyą, że położenie nasze jest niezmiernie trudne i smutne — lecz właśnie dlatego my zdania owych pesymistów co do zabaw nie podzielamy.

Umysł ludzki to rzecz krucha, a serce rzecz jeszcze kruchsza. Gdy się zanadto trapią czarnemi myślami, popadają w melancholią, od której krok mały do zupełnej utraty wszelkiej ochoty do życia, wszelkiej energii, wszelkiej wiary w siebie i w przyszłość. Nam zaś nie wolno tracić ani ochoty życiowej, ani wiary w przyszłość, ani pewności siebie. Precz więc z kirem żałobnym!

Weźmy do ręki tom drugi „*Pana Wołodyjowskiego*“ i przeczytajmy tam rozdział o zabawach zapustnych w [illegible] „małego rycerza“ na kresach [illegible]zypospolitej. Położenie ojczyzny [illegible]ej było i wówczas bardzo straszne. Jeszcze nie zagoiła ran, jakie zadały jej bunty kozackie, wojny

szwedzkie i owe wszystkie inne, które równocześnie zwaliły się na nią, a tu od wschodu nadchodziła nawałnica, na której widok drżała cała Europa. Tymczasem rycerze na tej strażnicy kresowej, ci, którzy pierwsi wytrzymać mieli natarcie strasznego wroga, którym groziła niechybna zagłada nie zwieszali smutnie głów, nie trapili się smutnemi myślami, lecz bawili się i hulali — aż drżazgi pryskały z podłogi, aż się dziwili uczeni Ormianie ze wschodu. Każdy wszakże z tych rycerzy spełniał sumiennie obowiązki swoje, czuwał we dnie i w nocy nad bezpieczeństwem kraju ojczystego, przed żadnym nie cofał się trudem, gotów był każdej chwili nieść swe życie w ofierze dla narodu i kraju, — lecz w wolnej od służby obozowej chwili bawił się na zabój. A z zabawy tej czerpał animusz i fantazya...

My dziś w podobnem znajdujemy się położeniu, i my tworzymy taką straż przednią na kresach, i my pierwsi nadstawiamy piersi nawałnicy, tym razem z zachodu, która grozi zalewem nietylko całej Polsce, ale i całej Słowiańszczyznie. Bierzmy tedy przykład z owych rycerzy niemal już mitycznych, spełniajmy obowiązki nasze — lecz nie wyrzekajmy się uczciwej zabawy. Ona nas pokrzepi, sił nam doda do dalszej walki.

Niechże wróg nie mniema, że już tak nas przycisnął, iż straciliśmy zupełnie ochotę do życia i do uciechy. Nawet tej nie dajmy mu satysfakcyi.

Bawmy się więc — *ale w miarę. Na tem polega mądrość życiowa. Młode* zwłaszcza pokolenie nasze niech się bawi, niech tańczy, niech i poswawoli trochę podczas karnawału. Każdy wiek ma swoje prawa; wzbranianie przeto młodzieży zabaw byłoby szczytem nierozsądku.

Jeden i drugi bal jeszcze nas nie narazi na ruinę, jeźli liczyć się przytem będziemy z sakwą naszą. I skromne przyjęcia domowe nikogo jeszcze nie zmarnowały. Mówimy wyraźnie *skromne* — i na to szczególny kładziemy *nacisk*.

Rozpanoszyła się bowiem u nas zgubna wystawność w życiu towarzyskiem — na wzór zagranicy. Nawet w średnio zamożnych rodzinach i domach nie pojmują już „kolacyi proszonej“ bez drogich ryb zagranicznych, importowanych innych przysmaków, kosztownych win, likierów i deserów. Polskie zrazy, polski bigos, poczciwy szarak lub kapłon — straciły już na takich ucztach prawo obywatelstwa. A właśnie przy takich potrawach ojcowie nasi bawili się najlepiej. Jeźli tak „po zagranicznemu“ pojmujemy gościnność domową, to lepiej wcale jej nie uprawiajmy. I na balach aż się mieni od jedwabiów i koronek — a szampanki huczą przytem na wiwat — jak gdyby tak samo dobrze nie można się zabawić w materyach wełnianych i tarlatanach, przy piwku lub węgrzynie.

Bądź jak bądź miejmy zawsze na uwadze, że żyjemy *w czasie wojny*, że na nasz byt czyha bezlitośny nieprzyjaciel — i do tego stosujmy nawet *zabawy nasze*.

Niemniej miejmy zawsze w pamięci *obowiązek popierania swoich*. Materyi do sukni balowej niechaj dostarczy polski kupiec, i uszyją ją polskie ręce. Polski grosz niech przechodzi w polskie ręce. Często zachodzą wypadki, że urządzamy bale *w niemieckich* salach i hotelach, twierdząc, że polskie są za brzydkie, za „ordynarne;“ — dzieje się to mianowicie po mniejszych miastach. Na takie rozumowanie nie mamy dość słów potępienia. Przy dobrej woli i ochocie *każdą* salę zamienić można na bardzo porządny i przyjemny przybytek zabawy. A unikniemy tego, że obcy, zagarnąwszy krwawe nasze grosze, drwić z nas jeszcze będzie i zaniesie z tych groszy naszych obola na popieranie — hakaty.

A więc bawmy się — ale skromnie i z najściślejszem uwzględnieniem solidarności narodowej, tego najważniejszego jej hasła: popierajmy swoich! Wówczas będą zadowolone „wszystkie stany i zawody“ — i z nową ochotą i fantazyą pójdziemy w bój, z nową wiarą wstąpimy w czas postu, który i pod politycznym i narodowym względem może będzie dla nas znów czasem pokuty i umartwienia.

Tymczasem do mazura!

Czujny.

Pośrednictwa potrzeba!

Na *Slązku* wre i kipi. Z żywiołową wprost mocą rozrywa tam duch polski pęta, które krępowały go tak długo. I radować by się mogła na widok ten cała nasza Ojczyzna — gdyby oto z równą niemal siłą nie występowała tam na jaw stara, najsmutniejsza nasza wada narodowa: *niezgoda*. Stanęły naprzeciw siebie dwa obozy, dwa prądy — które zwalczają się gwałtownie, z zaciekłością niemal, nie bacząc na to, że tą wojną domową, wewnętrzną mogą — jeźli już nie zaprzepaścić — to conajmniej na nieobliczalne straty i szkody narazić sprawę narodową na Slązku.

Gdy przed dwoma miesiącami zawiązało się tam pierwsze polskie *Towarzystwo wyborcze*, które postanowiło ująć w swe ręce cały ruch narodowo-polityczny, powitaliśmy je z wielką a szczerą radością. Nie tylko bowiem było ono ziszczeniem się naszych nawoływań i zabiegów w sprawie ślązkiej, ale przedewszystkiem silnym, wymownym dowodem, że ruch narodowy czuje się tam już na siłach do *samodzielnej*, śmiałej i otwartej akcyi. Przypuszczaliśmy też, że wobec tego dowodu i objawu ci, którzy przed rokiem jeszcze odpowiedzieli na naszą „Pobudkę“ do takiej akcyi, zimnem, mrożącem wprost „jeszcze nie pora“ — zmienią teraz swe zdanie i przyłączywszy się do nowej organizacyi dadzą jej od razu szeroki potężny podkład. Nadzieja ta zawiodła.

„Katolik“ i „Gazeta Opolska“ nie zmieniły swej postawy, obstają i dziś jeszcze przy zeszłorocznym swym „programie“ i ani słuchać nie chcą o haśle: „precz z centrum!“ — z jakiem występuje „Towarzystwo wyborcze.“ Towarzystwo to zapewnia, że *starało* się kierowników tych dwóch pism przeciągnąć na swoją stronę, a conajmniej wytworzyć pewien modus vivendi między obu stronami, lecz napróżno. Nie będziemy tu rozstrząsali kwestyi, czy starania te miały formę *odpowiednią*, czy nie brakło może dobrej woli do porozumienia, bo nie chcemy dolewać oliwy do ognia. Dość, że „układy“ — jeźli tak nazwać można owe „starania“ — rozbiły się i nastało silne rozdwojenie.

Sytuacya dziś tam taka: „Towarzystwo wyborcze“ zmodyfikowało wprawdzie nieco hasło swoje, wyjmując z pod niego dwóch posłów dotychczasowych majora *Szmulę* i *Strzodę*, których popierać będzie, choćby nadal należeć chcieli do Centrum, mimo to dąży do wyparcia Centrum z okręgów górnoślązkich i do wyboru narodowych posłów, do *Koła polskiego*. „Katolik“ zaś oraz „Gazeta Opolska“ zalecają ludowi dalszą wierność dla Centrum i pragną jedynie *układania* wprzódy na niem, aby dało ludowi takich posłów, jakich on sobie życzy.

Tę taktykę swoją uzasadniają podobnie jak przeszłego roku 1) niedostatecznem rzekomo jeszcze uświadomieniem narodowem ogółu polskiej ludności Slązka, i 2) względami na duchowieństwo, któreby pod żadnym warunkiem narodowej akcyi wyborczej nie popierało. Do tych dwóch „argumentów“ dodał „Katolik“ jeszcze trzeci a mianowicie, że Koło polskie w dzisiejszym swym składzie nie odpowiada społecz-

nym i ekonomicznym interesom ludu śląźkiego.

Naszem zdaniem — jak to już obszernie wykazaliśmy w roku zeszłym — argumenty te nie wytrzymują poważnej krytyki. W twierdzeniu „Katolika“, że Centrum ze względów społeczno- ekonomicznych jest *lepszą* reprezentacyą dla ludu śląźkiego — widzimy nawet *brak logiki* — oraz — co najgorsza — *negacyą solidarności narodowej.* Niech tam Koło polskie będzie jakiem chce, — dla *polskiego* ludu ono tylko może być właściwą reprezentacyą, bo jest *polskie.* A przecież po wstąpieniu do niego posłów *śląźkich* znacznemu może uledz przeobrażeniu, tem bardziej, że do zmiany społeczno-ekonomicznych zasad Koła dąży już dziś znaczny zastęp posłów także z Poznańskiego i z Prus Zachodnich. Kto więc powiada polskiemu ludowi, że Koło polskie jest gorszem od Centrum, dopuszcza się czynu nietylko bardzo nierozważnego, ale nawet wprost *niepatryotycznego.*

Tego zarzutu nie możemy oszczędzić panu Napieralskiemu, kierownikowi „Katolika“, a nie możemy mu oszczędzić jeszcze drugiego, a mianowicie, że za nadto w tej sprawie narodowej wysuwa naprzód *swoją osobę.* Dyktatura jednostek na Śląźku była tak długo usprawiedliwioną, dopóki nie było organizacyi, powstałej z wyboru, a mającej charakter wyborczej władzy narodowej. Z chwilą, gdy ta organizacya powstała, jednostki dzierżące tam jakąkolwiek władzę, powinny były, jeźli już nie wprost poddać się pod jego komendę, to przynajmniej przyłączyć się do niej i *w niej* działać dalej. Nikt zaś zaprzeczyć nie zdoła, że *Towarzystwo Wyborcze* już ze względu na skład swój — *posiada zupełną kwalifikacyą na taką władzę narodową.* Kierownik „Katolika“ tymczasem nie chce się wyrzec swej osobistej władzy, lecz traktuje dalej sprawę ze stanowiska *osobistych* swych poglądów i dążności, na *własną* rękę działa, na *własną* paktuje z Centrum. Sąd o tem postępowaniu Czytelnicy nasi łatwo sobie wytworzą.

My — a wraz z nami szerokie koła społeczeństwa polskiego uważać musimy za jedynie miarodajną dziś na Ślązku instytucyą wyborczą *„Towarzystwo wyborcze“*, tem bardziej, że ostatnie wypadki pokazały, iż posiada ono wysokie podwaliny w masach ludu. Zwołane przez Towarzystwo wiece były wspaniałemi manifestacyami narodowemi a zarazem dowiodły, że tysiące już godzą się najzupełniej na jego dążności, hasła i *władzę.* Za tem samem przemawia fakt rozbicia wieca, zwołanego przez „Katolika“, silna opozycya, jaka się na nim odezwała przeciwko niektórym figurantom „Katolika“ — najbardziej już *fakt rozbicia wieca centrowego w Bytomiu.*

Wiec ten odbył się w dniu Trzech Króli. Miał to być według pierwotnego zamiaru komitetu centrowego — wiec *polsko-niemiecki.* Komitet centrowy zaprosił nawet na mówcę na tym wiecu redaktora „Katolika“, pana Napieralskiego. Tenże odmówił jednakże, oświadczając, że jest przeciwnikiem takich wieców *wspólnych*, mieszanych. Wobec tego komitet postanowił — podobno według twierdzenia „Katolika“ zwołać tylko wiec *niemieckich* katolików. Widocznie jednak zawiadomienie o wiecu było niewyraźne, gdyż „Górnoślązak“ organ „Towarzystwa wyborczego“, uważał wiec za wspólny. Wezwał tedy zwolenników swoich, ażeby licznie się na wiecu zebrali i objawili komitetowi centrowemu *swoje* zdanie. I wezwaniu temu stało się zadość. Lud polski przybył licznie, a z postawy jego Centrowcy to jedno tylko mogli wysnuć przeświadczenie, że zupełnie już stracili zaufanie i posłuch u polskich wyborców. Przyszło na tym wiecu do scen bardzo burzliwych i jedynie obecność aż 30 policyantów zapobiegła groźniejszym objawom niezadowolenia ludu. Gromko przytem rozlegało się hasło: *„precz z Centrum.“*

Z powodu tego wywiązała się znowu — przykra a gwałtowna polemika między *„Katolikiem“* a organem Towarzystwa wyborczego“ *„Gornoślązakiem“*. „Katolik“ potępił stanowczo tego rodzaju najścia na wiece *niemieckie* i odwzajemniając się za okrzyki, jakie padały na wiecu: *„hańba Napieralskiemu“*, ostro i osobiście zaczepił znów redaktora „Górnoślązaka — *p. Korfantego.* Równocześnie atoli przyznał, *że jego „układy“ z Centrum do żadnego jeszcze nie doprowadziły celu.* „Górnoślązak“ odpowiedział na to trafnie, że tu, gdzie chodzi o *sprawę,* „Katolik“ nie powinien wysuwać naprzód *osób*, lecz trzymać się samej rzeczy. I tu polemika zaogniła znów ranę rozdwojenia, powiększyła jeszcze niechęć wzajemną, tak że dziś niema najmniejszej nadziei, iżby mogło jeszcze *bez wdania się w tę sprawę jakiej strony trzeciej* przyjść do porozumienia.

Tymczasem wybory już „za pasem.“ Według obiegających pogłosek mogą się odbyć już w *Kwietniu* lub *Maju. Cóż będzie jeźli do tego czasu nie nastąpi zgoda między przeciwnemi obozami?*

Nam chodzi jedynie o dobro sprawy i dlatego przeciwni jesteśmy wszelkiej krańcowości, jako w obecnych tam stosunkach bardzo niebezpiecznej. Po układach z Centrum, jakie prowadzi pan Napieralski, niczego się nie spodziewamy. Centrum dzisiejsze nie uzna *narodowych* praw ludności śląźkiej. Z drugiej zaś strony właśnie ostatnie wiece dowiodły, że hasło *„precz z Centrum“* znalazło już silny oddźwięk w ludzie. Mimo to obawiamy się, że rozdwojenie stać się może dla sprawy polskiej na Śląźku *ogromnie niebezpiecznem.* I „Katolik“ bowiem posiada jeszcze tysiące zwolenników, właśnie wśród mniej narodowo uświadomionych warstw ludności, które ślepo pójdą za jego głosem. *Koniecznie tedy należy znaleść jakąś drogę pośrednią, którąby łączyła dążności obu stron i dawała rękojmią zwycięztwa przy wyborach, — zwycięztwa sprawy polskiej.*

I tu nasuwa się poważne pytanie, czy nam w Księztwie wolno nadal pozostać biernymi tylko widzami wypadków na Ślązku, czy pośredniczenie w tym sporze domowym bratniej dzielnicy nie jest wprost naszym narodowym obowiązkiem?...

My uznajemy taki obowiązek. Apelujemy tedy do posłów naszych, posiadających mir zasłużony *w całem* społeczeństwie, apelujemy mianowicie do pp. *Czarlińskiego, Głębockiego i Chrzanowskiego.* Niech porozumieją się z posłem majorem *Szmulem*, niech wraz z nim poczynią kroki w celu przywrócenia zgody na Śląźku. Potrzeba koniecznie, aby kierownicy obu stron zeszli się na *konferencyą*, ażeby przez wymianę zdań doszli *do jednolitej akcyi.* Jaka ona będzie i *być powinna,* tego nie przesądzamy, to okaże się z dyskusyi, z rezultatu wymiany zdań. *Ale jednolita być musi,* jeżeli sprawa narodowa na Śląźku nie ma ponieść ciężkiej szkody.

Oby apel nasz nie przebrzmiał daremnie!!!

Narodowiec.

Wystawa wszechsłowiańska a Wielkopolska.

Chociaż niektóre organy nie poruszyły jeszcze wcale zawiłej kwestyi współudziału Polaków w wystawie wszechsłowiańskiej, inne zaś dotknęły jej tylko mimochodem, zaznaczyły się już u nas silne różnice. Na ogół jednak panuje w tej mierze niepewność i chwiejność, tem łatwiej zrozumiała, że nie znając dokładnie intencyi petersburskiego komitetu, ani usposobienia w Królestwie, trudno wyrobić sobie zdrowy sąd nam, stojącym zdala od Petersburga.

Wszelako możemy zaopiniować, czy *w zasadzie* godzimy się na wzięcie udziału w zapowiedzianym popisie narodów słowiańskich, czy nie. *O to też głównie chodzi*, ponieważ — jak podnieśliśmy w pierwszym artykule — kwestya wystawy jest dla nas pozbawioną znaczenia praktycznego. Bądź jak bądź nie poślemy do Petersburga nic, a w każdym razie znajdzie się pomiędzy nami garstka obywateli, którzy pojadą nad Newę zwiedzić wystawę i zlustrować kulturalny dorobek Słowiańszczyzny. Zaproszeni do przyjęcia udziału z Królestwa i to na wyraźne życzenie komitetu petersburskiego jesteśmy zmuszeni zdradzić usposobienie Polaków z pod zaboru pruskiego wobec Rosyi i społeczeństwo rosyjskie poczyta naszą odpowiedź za miarom etz pojęć panujących u nas na stosunek Polaków w Prusiech do Rosyi. Jakkolwiek więc jest to kwestya li tylko dyplomatyczna, nie mniej jednak ważna, gdyż odpowiedź nasza na zaproszenie będzie dobitnem zaznaczeniem stanowiska Wielkopolski do Rosyi i do Słowiańszczyzny.

Mając to na uwadze, powinniśmy wotować za przyjęciem udziału w wystawie. Śro Słowianie winniśmy zająć miejsce w rzędzie narodów pobratymczych, tam gdzie wszyscy Słowianie stają razem na niwie kulturalnej nie powinno zabraknąć Wielkopolski, jeżeli nie chce ona narażać się na zarzut, iż przesiąkła inną kulturą, odsunęła się od wspólnego pnia słowiańskiego i nie pragnie nawiązać nowych węzłów. Nie przyjmując udziału w wystawie zamanifestowalibyśmy naszą obojętność i niechęć nie tylko względem Rosyi, lecz całej Słowiańszczyzny. A w jakiej formie dalibyśmy odpowiedź odmowną — czy w formie rezolucyi Towarzystwa Przemysłowego, czy też w formie zmodyfikowanej, jak pragnie nasz korespoddent S. — byłoby rzeczą nieobojętną. *Fakt sam*, że nas nie ma, że nie chcemy zespolić się na wystawie ze Słowianami, *mówiłby stokroć dobitniej od słów* i chociażbyśmy w nie wiem jak łagodnej formie na zaproszenie odmówili — nie zmieniłoby to niemiłego wrażenia, jakie nasza abstynencya musiałaby wywrzeć w pośród famili słowiańskiej.

„Nieobecnych zawsze źle oceniają,“ bo mają głos ich nieprzyjaciele i nikt im nie oponuje. Dlatego mniemamy, że rodzina słowiańska nie będzie dochodzić naszej ewentualnej abstynencyi, lecz da posłuch tym obecnym, którzy będą uważali za stósowne przedstawić naszą nieobecność w świetle niekorzystnem. *Polityka abstynencyi jest najgorszą polityką; nad nieobecnymi świat przechodzi do porządku dziennego jak nad zmarłymi.* Jeżeli pragnęli-byśmy objaśnić narody pobratymcze o tem, że mamy dawne porachunki z Rosyą, że prześladowanie Unitów boli nas głęboko, możemy uczynić to jedynie na drodze poufnej, *wtedy gdy będziemy brali udział w wystawie.*

Pierwszy raz od rozbioru Polski mamy sposobność wystąpić jako naród wobec Słowian i tej sposobności nie powinniśmy wypuszczać z ręki, gdyż jest to doskonała okazya, *by przed familią słowiańską zamanifestować, iż* mimo stuletniej niewoli, całkiem odmiennych warunków, w jakich istnieją trzy zabory, tudzież odmiennych wpływów oddziałujących na nie — *jesteśmy jednym nierozerwanym narodem*, pewnym poczucia jedności, ogrzanym tymi samymi ideałami. Manifestacya taka jest stokroć więcej na miejscu aniżeli manifestacya żalów naszych do Rosyi, która raz chybiłaby celu a powtóre mogłaby być fałszywie zrozumianą jako wyraz niechęci do całej Słowiańszczyzny. Z okazyi wystawy nie powinniśmy korzystać, by ujawnić przepaść, jaka dzieli nas politycznie od Rosyi. Na to — jeźli wogóle koniecznie tak być-by miało możemy poszukać sobie właściwszej sposobności. Nie róbmy z wystawy kwestyi politycznej, póki komitet petersburski nie zabarwi tej sprawy polityką. Nasi przeciwnicy wystawy postępują niekonsekwentnie, bo nie życząc sobie, aby komitet petersburski nadawał wystawie i jej przebiegowi cechy politycznej, sami wpadają w ten sam błąd.

Przychylna odpowiedź z naszej strony na zaproszenie byłaby *całkiem zgodną ze stanowiskiem, jakie Wielkopolska zajmowała w ostatnich czasach.* Na naszej ziemi zakiełkowała nadzieja, że kroczymy, wprawdzie powoli, ale kroczymy ku zobopólnemu porozumieniu się z Rosyanami i podczas gdy nie mamy ani cienia nadziei, aby *kiedykolwiek* mógł zapanować pomiędzy nami a Prusakami, odwiecznymi wrogami naszymi, znośny stosunek, ku słowiańskiej Rosyi spoziramy z pewną ufnością, iż przyszłość przynosząc różne ewolucye ukształtuje inaczej stosunki polsko-rosyjskie. Wspólne cechy charakterów i temperamentów wzbudzają w społeczeństwie naszem mimowowolne przekonanie w możność porozumienia się. Dlatego też uchwały zapadłej w łonie Tow. Przemysłowego *nie poczytujemy za wyraz opinii w szerokich kołach.* Przeciwnie, nie ulega wątpliwości, iż znakomita większość naszego społeczeństwa przychyla się do wzięcia udziału w wystawie.

Godząc się *w zasadzie* na przyjęcie zaproszenia, musimy odczekać decyzyi Królestwa, bez którego dział polski nie przyszedłby do skutku jak nie mniej z tej przyczyny, iż uważamy za konieczne pozostawić Królestwu jako głównie interesowanej części ziem polskich w tej materyi decyzyą. Powtóre przekonać się należy, czy zarządzenia komitetu petersburskiego w niczem nie uczynią ujmy działowi polskiemu, nie narażą na szwank naszej godności narodowej. Tylko jako równi między równymi moglibyśmy zająć miejsce w poczecie innych Słowian, tylko wówczas wystawa petersburska byłaby świętem rodzinnem Słowiańszczyzny i przyczyniłaby się do rozwoju idei łączności.

Ostatecznie zatem nie od nas zależy czy weźmiemy udział w wystawie, lecz *od Petersburga*, który winien pamiętać, iż bez Polaków wystawa wszechsłowiańska nie byłaby wszechsłowiańską.

Ordon.

Powstaniec-kapłan-patryota.

Kraków, dnia 12 stycznia 1903.

Wracam z pogrzebu. Dzień mroczny, słotny, ponury, bezustannie pada deszcz ze śniegiem, na ulicach błoto po kostki. Mimo to przedemną, za mną i obok mnie wracają z cmentarza tłumy prawdziwe. A w tłumach tych widać przedstawicieli wszystkich stanów, wszystkich zawodów — co najważniejsze zaś przedstawicieli wszystkich obozów i odcieni politycznych, począwszy od skrajnych konserwatystów a skończywszy na czerwonych nawet radykałach. Komuż to oddali ostatnią przysługę? Snać musiał to być mąż, stojący ponad stanami i ponad stronnictwami, przytem mąż cieszący się, — co tak rzadko się zdarza — ogólnem uznaniem.

Tak jest! Stał on ponad sporami i walkami, nurtującemi w narodzie, a był prawdziwie wielkim — chociaż nosił od lat wielu tylko twardą włosiennicę ubogiego zakonnika *Kapucyna.* Lecz pod tą włosiennicą biło jedno z najszlachetniejszych serc polskich, gotowe do największych poświęceń dla dobra Ojczyzny. Był to jeden z tych patryotów ostatniej doby, którzy nieprzejednani byli wobec porozbiorowego stanu rzeczy, nie znali i znać nie chcieli ścieżek ugodowych a społeczeństwa i ludzkość dzielili tylko na Polaków i .... wrogów.

Znał go Kraków cały, znała cała Galicya pod *nazwą Ojca Wacława.* Postać duża, o rysach twarzy, których

już się nie zapomina, gdy się je raz widziało. Dziś ziemskie jej szczątki złożyliśmy w grobie.

Zakonnik ten, ks. *Wacław Nowakowski* trzymał w roku 1863 w swojem ręku nici całego powstania na Litwie i Podolu, spełniał niebezpieczne misye, lekceważąc życie, bo on je Ojczyznie ofiarował. Ta abnegacya właściwą była jego charakterowi. Powstanie roku 1863 zastało go już w habicie, mimo to był członkiem rządu narodowego. Przed trzydziestu laty wrócił do celi przeszedłszy przez całe piekło Syberyi i tułactwo emigracyi.

Lecz jak zaczął, tak żył do końca życia. Szranki klasztorne nie powstrzymywały go od uczestnictwa w życiu narodu. Wkrótce imię jego stało się głośnem jako autora wielu cennych monografii i rozpraw historycznych, zwłaszcza z końca XVIII wieku. Jako pisarz był nieubłaganym sędzią dla tych, którzy nie spełniali swoich wobec Ojczyzny obowiązków. A miał prawo być sędzią surowym, bo sobie samemu dyktował obowiązki najcięższe i spełniał je bez szemrania.

Z prac jego wiele kryje się pod pseudonimami. Te dopiero przyszłość wpisze do literatury naszej pod właściwem jego nazwizkiem. Wówczas też ta postać księdza *Wacława Nowakowskiego* ukaże się dopiero w pełnem świetle wielkiego patryoty i niepospolitego dziejopisa.

Ś. p. ks. *Wacław Nowakowski* urodził się 19 lipca 1829 roku w Bobrówce. Był synem Łukasza i Klotyldy z Korzelińskich, właścicieli Bobrówki. Kształcił się w Krzemieńcu i Warszawie, biorąc żywy udział w ówczesnym ruchu narodowym. Od wczesnej młodości objawiał się u niego pewien zmysł ascetyczny, którego wynikiem było wstąpienie do zakonu OO. Kapucynów w Lubartowie w r. 1860. Tutaj, a potem w Lublinie odbywał nowicyat. W Lublinie zaskoczyły go wypadki roku 1863, w których od samego początku wybitną, nieraz decydującą grał rolę. Suknia zakonnika zdawała się go chronić przed pościgiem i dlatego najważniejsze misye organizacyjne w jego składano ręce.

Od samego początku był też „Ojciec Wacław“ jednym z najwybitniejszych członków Rządu narodowego w Lubelskiem i we wschodnich prowincyach Polski. Szczegóły tej akcyi muszą na razie pozostać w tajemnicy.

Przez nieostrożność, a może i zdradę, dostał się w r. 1864 w ręce rosyjskie i skazany został na „posielenie“ w Syberyi. W pochodzie etapowym spotkał się ś. p. ks. Wacław na jednym z etapów z pochodem wysłańców do ciężkich robót. *W gronie tem był jego rodzony brat,* Karol, artysta-malarz, skazany na ciężkie roboty w kopalniach. Ponieważ Wacław czuł się od brata silniejszym i zdrowszym, — *zamienił się z nim,* i przekupiwszy konwój rosyjski, poszedł do ciężkich robót w Irkucku i Usoli, pozostawiając bratu lżejszą karę „posielenia“.

Przeszło 8 lat przetrwał ś. p. ks. Wacław w ciężkich robotach aresztanckich. Jako wspomnienie z tych czasów, skreślił przed laty, pod pseudominem „Edwarda z Sulgostowa“ obrazek p. t. „Wilia w Usoli“.

Z Syberyi, uwolniony po ośmiu latach katuszy, internowany był w Odessie, skąd udało mu się schronić zrazu na Wołyń i Podole, później do Galicyi, skąd znowu zwrócił się do *Poznania* i Paryża. Tutaj wstąpił do klasztoru Trapistów; gdy jednak charakter tego zakonu nie odpowiadał jego intencyom, wystąpił z niego i po dłuższej tułaczce emigracyjnej znalazł się w klasztorze *OO. Kapucynów w Krakowie* w r. 1878. W dwa lata później, 1 lutego 1880 r., wyświęcony został na kapłana przez ś. p. kardynała Dunajewskiego i od tego czasu nie opuszczał Krakowa, cały czas wolny poświęcając pracom literackim. Ostatniemi czasy napisał obszerniejszą monografię o Matce Boskiej Ostrobramskiej.

Pomimo wszystkich ciężkich przejść życia anachorety-ascetyka (ś. p. ks Wacław ślubował post dozgonny i sypiał na twardem łożu), cieszył się zmarły dzisiaj zakonnik do niedawna czerstwem zdrowiem. W ostatnim roku dopiero wiek wyciskać zaczął w zbyt pospiesznem tempie swoje ślady na tej szlachetnej, dziwnie spokojnej twarzy. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia odprawił jeszcze 3 msze św., powróciwszy jednak położył się w swojej celi, aby nie wstać więcej

Nie wielu już takich między nami, takich niezłomnych, żelaznych, żyjących tylko dla Boga i Ojczyzny. Cześć tego pamięci! Niechże ten żywot jasny będzie po wszystkie czasy, przykładem dla rodaków, jak należy kochać Ojczyznę.

R. K.



Z TYGODNIA.

W krótce znów otworzy się codziennej prasie europejskiej szerokie pole do domysłów i kombinacyi. W ubiegłym tygodniu zapowiedziano bowiem już półurzędownie na kwiecień dwie podróże i wizyty monarsze, a mianowicie cara *Mikołaja* i cesarza *Wilhelma II.* w Rzymie na dworze włoskim, no i zapewne także w Watykanie. Wizyty te poprzedzi, jak już wiadomo, inna, niemniej „ważna“ — wizyta pruskiego i niemieckiego następcy tronu w Petersburgu, a podobno także w Kopenhadze. A chociaż nie zmienią one sytuacyi ani nie wywrą decydującego wpływu na losy narodów europejskich, to w każdym razie znajdą obszerne i „wyczerpujące“ komentarze. Zapewne tedy czytać będziemy mniej lub więcej „głębokie“ rozmyślania i dociekania na temat, dlaczego to car i cesarz Wilhelm nie zjechali do Rzymu równocześnie, lecz jeden po drugim, dlaczego ominęli Wiedeń, o ile procent znów pójdą w górę akcye trój- i dwójprzymierza oraz pokoju europejskiego itd. itd. Dziś już zresztą wizyty te są przedmiotem rozmaitych uwag po dziennikach.

Czcza i bezproduktywna to robota! Żyjemy w czasach, które formalnie przygnębiają wszystkie narody europejskie swym *pokojowym* nastrojem. Europa jeży się formalnie działami i bagnetami, nigdy atoli jeszcze nie panowała w niej taka trwoga przed ewentualnemi zatargami zbrojnemi na większą skalę, jak obecnie. Każde mocarstwo i państwo drży formalnie na myśl groźniejszego zawikłania, więc chociaż jedno drugiemu stara się szkodzić jaknajbardziej, wszystkie czynią to w formie bardzo dyplomatycznej, aby tylko nie dopuścić jakiej katastrofy. Każdy spór, każde nieporozumienie w lot starają się wyjaśnić i załagodzić pokojowym sposobem, przy czem wzajemnie sobie wygadzają „bezinteresownem“ pośrednictwem. Wszystkie czują to dobrze, że jeżeli się raz przerwie ta sztuczna pokojowa tkanka pajęcza, jeżli między dwoma mocarstwami przyjdzie do wojny, od razu cała Europa stanie w płomieniach. Czują to także ludy europejskie, więc chociaż panuje pokój, nie sprawiają wrażenia ludzi zadowolnionych i szczęśliwych. Ogarnia je jakaś wielka ogólna *neurasthemia*, która wyciska swe piętno na całem życiu społecznem, ekonomicznem i umysłowem. I źle będzie, jeżli ten stan chorobliwy nie skończy się rychło.

Zażegnanie ewentualnej jakiej burzy grożącej od wschodu, miała na celu także podróż hr. *Lambsdorffa.* O rezultacie jej i dziś jeszcze zgoła nie wiemy. Nie będzie on bądź co bądź wielkim, a nawet bodaj czy uspokoi *Macedończyków.* Przywódzcy ich oświadczają bowiem, że żadne wybiegi dyplomatyczne nie zdołają ich powstrzymać od wzniecenia ogólnego powstania w Macedonii na wiosnę r. b.

Pokojowo załatwioną zostanie sprawa *wenezuelska.* Układy w tej sprawie wloką się jednak tak leniwo i wolno, że ostatecznego jej skreślenia z porządku spraw bieżących nie tak rychło spodziewać się można.

I sprawę *marokańską,* która groziła zatargiem między Anglią i Francyą, dziś już uważać trzeba za pochowaną na razie — sułtan marokański okazał się dobrym dyplomatą, wyrzekł się „błędów europejskich“, przejednał tem swych poddanych — i w ten sposób uzyskał przewagę nad wodzem rewolucyi *Bu Hamarą.* Jeżli nie zajdą jakie nieprzewidziane wypadki, może już w chwili, gdy numer ten wyjdzie, będzie znów samowładnym panem swego państwa, a tem samem upadnie wszelki powód do wmięszania się w sprawy Maroka mocarstw europejskich.

We *Francyi* odbyły się w ubiegłą niedzielę wybory uzupełniające do *senatu.* Wybory te skończyły się nowym tryumfem pana Combesa. Jego samego wybrano nawet w dwóch okręgach, z tych w jednym na wyspie Korsyce uchodzącej za twierdzę konserwatyzmu i monarchizmu. Ha! trudno, niech tryumfuje! Jest w niemieckim języku przysłowie, które w polskim przekładzie brzmi: „Tylko najgłupsze cielęta wybierają swych rzeźników.“ To przysłowie najzupełniej dziś zastósować można do Francyi i Francuzów. I oni dobrowolnie oddają się w ręce tych, którzy wiodą ich do zguby.

Młody król *hiszpański* Alfons XIII. oswaja się z hukiem strzałów rewolwerowych. Zaledwie od kilku miesięcy piastuje berło, a już był celem zamachu, świeżo zaś strzelał do powozów królewskich jakiś waryat nazwiskiem Feito chcąc uśmiercić szambelana księcia Sotomador'a. Nikomu wszakże krzywdy na ciele nie wyrządził, mimo to wywołał niemały popłoch w wszystkich sferach rządowych Jeżli atoli dalej tak często kule rewolwerowe świstać będą około uszu młodego monarchy, jednak jedna z nich może dosięgnąć celu swego. Na czele rządu hiszpańskiego stoi obecnie silny i energiczny konserwatysta *Silvela,* lecz i on bodaj czy zdoła wytępić zło, które się formalnie rozpanoszyło w tym nieszczęśliwym kraju.

Minister angielski *Chamberlain,* sprawca wojny z Burami, objeżdża obecnie obie podbite republiki południowo-afrykańskie. A chociaż nie przywiózł Burom nic, prócz obiecanek, napomnień i wyrzutów, jednak doznał z ich strony „miłego przyjęcia.“ Przygnębiony straszną nędzą dzielny ten naród zupełnie już się zdaje na łaskę zwycięzców.

W *Austryi* nie zaszło nic nowego. *Czesi* i *Niemcy* radzą tam wciąż nad pojednaniem w sprawie językowej, lecz dziś już przewidzieć można, że i te narady skończą się na niczem.

Tymczasem *w Berlinie* nastąpiło otwarcie izb parlamentarnych pruskich. Mowa tronowa, odczytana przez hr. Bülowa, nie zawiera nic nowego ani — pocieszającego. Obwieszcza „mało zadowalające położenie finansów.“ Deficyt, którym zakończył się r. 1901 wynosi — *37 i pół miliona marek,* i rośnie Winszujemy! Ale na „obronę zagrożonej niemczyzny“ zaślepiony rząd znajduje miliony! Mowa tronowa zawiera ustęp odnoszący się do tej kwestyi, który brzmi:

„Chwilowa sytuacya finansowa nie mogła do tego doprowadzić, aby zaniechać wydatków, które są konieczne potrzebne w interesie politycznym i ekonomicznym. Do tych wydatków należą znaczne kwoty, o jakich uchwalenie rząd państwowy Panów prosi, *prowadząc dalej politykę, zmierzającą ku obronie niemczyzny na kresach wschodnich, oraz ku ekonomicznemu wzmocnieniu kresów wschodnich. Również mają być zapewnione przewidziane dodatki do pensyi w tych dzielnicach zamieszkałym średnim i niższym urzędnikom jako też nauczycielom zatrudnionym przy publicznych szkołach ludowych.*“

W *Niemczech,* tem „przyjemnem“ państwie,“ do którego gniew Boży nas przyłączył, wszystkie już stronnictwa zaczynają się krzątać około przygotowań do nowych wyborów do parlamentu. Możliwem bowiem jest, że wybory te odbędą się już w kwietniu lub maju. Rząd zamierza podobno rychło przedłożyć parlamentowi projekty nowych traktatów z Austryą i Włochami — tych zaś nie powierzy zapewne staremu — lecz nowemu parlamentowi. Jakim on będzie, któż to wiedzieć może? Wolnomyślne i socyalnodemokratyczne pisma zapowiadają, że „lud“ „zapłaci“ rządowi i większości za nową taryfę i za pogwałcenie swobód parlamentarnych w ten sposób, że obali przynajmniej połowę kandydatur konserwatywnych, centrowych i nacyonalliberalnych, a na ich miejsce wyśle do Berlina radykalnych opozycyonistów. Nie chcemy jednakże ręczyć, że przepowiednia ta a raczej zapowiedź się spełni. „Michałkowie“ niemieccy nieraz nieobliczeni — zwłaszcza w polityce; dużo w nich tkwi jeszcze owego „ograniczonego rozumu wierno-poddańczego“, który to Prusakom zalecał jeden z ministrów pruskich, a „ograniczony ten rozum“ nie znosi zbyt gwałtownej opozycyi przeciwko tronowi, kanclerzom, ministrom, landratom, policyi i żandarmom. Więc raczej przypuszczać można, iż skład parlamentu nie bardzo się zmieni i że nie zmienią się także widoki spraw naszych w parlamencie. Wobec tego powinniśmy starać się usilnie, ażeby z wyborów wyszło jaknajwięcej posłów *polskich,* a przedewszystkiem takich, którzy niczem by się nie zrażali. Tylko w takim razie głos nasz jeszcze coś znaczyć będzie pod złotą kopułą nad Sprewą.

K. O.



Przegląd prasy.

Wiece i sprawy wyborcze zaprzątają głównie uwagę prasy. Mimo ruchu wyborczego, który ujawnił się szczególnie w Prusach zachodnich, „*Dzien. Pozn.*“ utyskuje nad „obojętnością przedwyborczą“ i tłomaczy ten objaw w ten sposób:

„W pamięci wszystkich są jeszcze owe burzliwe ongi wybory, a mianowicie burzliwe i gorszące nieraz zebrania przedwyborcze. To wielu zraża, zwłaszcza zmęczonych dawnemi a nieraz tak gorszącemi walkami wewnętrznemi. Dlatego, kiedy mówi się o wyborach, wyrażają się nieraz wedle owego: „Panie, oddal ten kielich goryczy od nas.“

Smutne to, że wielu obywateli lęka się zebrań przedwyborczych, ale musimy się z tem pogodzić, że w każdem społeczeństwie istnieją słabe jednostki, które skoro rzeczy nie idą według ich myśli, zrażają się i opuszczają ręce. Ludzie tego pokroju prędzej czy później wycofają się z szeregów czynnych obywateli, bo muszą napotkać na przeciwności. Więc trzeba przejść po nad nimi do porządku dziennego i iść naprzód z żywymi.

„*Dzien. Pozn.*“ nie wierzy, aby udało się „dojść do dodatniego odświeżenia naszych kół poselskich.“ „*Gazeta Gdańska*“ — mając zapewne na oku *Prusy Zach*[illegible]

stytczniej zapatruje się na usiłowania wprowadzenia nowych sił w łono Koła polskiego i tak wróży:

„Wyrażamy tutaj otwarcie obawę, że nowy skład Koła polskiego w sejmie i parlamencie będzie bardzo niezadowalniającym.

„Dlaczego? Bo społeczeństwo nasze tak mało rozwinięte politycznie, Komitety wyborcze tak skromne stawiają żądania, że na zebraniach i wiecach tak łatwo i „jednogłośnie“ przyjmuje się wszystko, i tak silne wrażenie robią na poczciwych wyborców byle patryotyczne mówki, że oprzeć się nie można największym obawom.

„Oby Komitety wyborcze póki czas przedłożyły sobie pytanie, czy dokładnie i gruntownie poszukiwały, który najgodniejszy w narodzie?“

W istocie komitety powinny przedłożyć sobie to pytanie i zamiast upierać się i walczyć z popularnym prądem, zdać sobie jasno sprawę z życzeń kół wyborczych, zająć wobec nich stanowisko *doradzców*, a nie komendantów. W tym razie nie byłaby się wywiązała „dyktatura szafująca mandatami poselskiemi“ w Prusach Zach. na którą uskarżał się ks. prob. Odrowski na *wiecu toruńskim*, nawiązując do sprawy wyborów w Tucholskiem.

Ks. prob. Odrowski potępiał obecny ruch wyborczy i jak czytamy w *„Gaz. Tor.“* mówił:

„Występują jakieś nowe prądy i nowi ludzie, a pytanie, co ci zdziałają? Cóż dobrego zrobili Inowrocławiacy? Wyrzucili p. *Kościelskiego*, który ma więcej rozumu w jednym palcu, niż inni w głowach.“

Być może, że Inowrocławiacy nie zrobili nic „dobrego“, lecz winę za to przyjąć muszą na siebie nasze władze wyborcze, które skostniałe w konserwatyzmie i senne, nie informują się o prądach nurtujących pomiędzy wyborcami, ignorują je, zamykają drzwi przed wszelkim postępem, a potem zaskoczone znienacka, opuszczają ręce i zniechęcają się, wystawiając sobie liche świadectwo. Tym sposobem zdarzyć się może, że miejsce pożytecznej siły parlamentarnej zajmie człowiek bez odpowiednich kwalifikacyi, wysunięty przez klikę, której uda się wydrzeć władzę komitetowi. Gdyby komitet postępował z czasem i liczył się z wyborcami, mógłby w każdym wypadku polecić kandydata takiego, który odpowiadał by popularnym wymaganiom wyborców i zarazem stał się dzielnym nabytkiem Koła polskiego.

„Dzien. Berl.“ w doskonałym artykule: „Jakiem pragniemy widzieć przyszłe Koło“ uważa, że „więcej idzie o nowe idee, aniżeli o nowych ludzi,“ bo „póki członkom parlamentu nie zostaną przyznane dyety, mandat poselski zawsze będzie stanowił zaszczytny, ale uciążliwy urząd i poniekąd przywilej klas zamożnych.“ Między innemi czytamy w tym artykule następującą wytyczną myśl, której „Praca“ przyklas-kuje:

„Równą miłością ogarniamy wszystkie stany narodu polskiego i dlatego nie idzie tu nam zgoła o stawianie pod pręgierzem specyalnie obywatelstwa, — szlachty, i przyznajemy, że bez tego żywiołu, wnoszącego do naszego życia narodowego historyczne tradycye kultury, *nasze życie nie byłoby kompletnem*. Ale niemniej jest faktem, że rola tej szlachty, która niegdyś była mniej więcej narodem polskim — obecnie się skończyła, że *punkt ciężkości społeczeństwa przesunął się ku szerokim warstwom ludowym*, które coraz bardziej się uświadamiając, rwą się do pracy politycznej i dzięki swej potędze liczebnej stały się już teraz decydującym czynnikiem.“

Dlatego myślą przewodnią naszej reprezentacyi stać się powinna zasada: *wszystko przez lud dla ludu*. Pomiędzy obecnem Kołem podnosi *„Dzien. Berl.“* — a społeczeństwem panuje pewien rozdźwięk w *kwestyi śląskiej*

„co do której Koło zachowuje arcydyplomatyczne *milczenie*, gdy rwący strumień ruchu emancypacyjnego na Szląsku porywa ze sobą coraz szersze warstwy i wytwarza nowe zupełnie sytuacye polityczne. Gdy poseł ksiądz Jażdzewski z wysokości trybuny nazwał ten cały ruch „dziełem kilku marnych redaktorów“ słowa te odbiły się bolesnem echem po całym kraju, od tego czasu minęło już lat parę a Koło, zdaje się, *ciągle jeszcze nie oryentuje się i nie zdaje sobie sprawy z żywiołowego charakteru kwestyi szląskiej*, powołanej, zdaje się, do uregulowania naszego stosunku do Centrum.“

Wytoczywszy kilka słusznych zarzutów przeciw Kołu, które i my podnieśliśmy, *„Dzien. Berl.“* żąda, aby

„Koło starało się teraz prowadzić politykę z szerszych punktów widzenia, z szczególnem uwzględnieniem interesów szerokich mas, a do tego koniecznem jest, żeby lewe skrzydło Koła przestało być traktowane i uważane przez resztę Koła jako grono niebezpiecznych radykałów targających się śmiałą ręką na tradycyjne podstawy polityki Koła.“

Charakterystyczny fakt notuje *„Wielkopolanin,“* z którego okazuje się w jakiej żelaznej kontroli, w jakim serwilizmie ducha utrzymują władze urzędników.

Do władz miejskich w Poznańskiem rozesłano w sprawie wyborów do rad miejskich poufne orędzie, które w głównym punkcie brzmi:

„Skutkiem wyższego rozporządzenia uprasza się o doniesienie, czy z powodu agitacyi Polaków wstrzymali się urzędnicy od wyborów i czy przez to niemiecka partya poniosła porażkę.

„Uprasza się o podanie nazwisk tych urzędników, którzy bez słusznych powodów trzymali się zdala od wyborów.“

Kwiatek pruskiej kultury!

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z głębi Niemiec, 6 stycznia.

Kto dobijać się musi zarobku na obczyźnie, temu już zapewne nieraz podpadło, jak rzadko się posługują Polacy z zaboru pruskiego swym ojczystym językiem, gdy nawięzują stosunki interesowe do firm niemieckich.

Nie chodzi tu o takich rodaków, którzy mając odbiorców Niemców zmuszeni są uwzględniać ich narodowość; jest bowiem uznana ogólnie zasada kupiecka, że dostawca stósować się musi do życzeń swych odbiorców. Takie wypadki są zresztą dzisiaj bardzo rzadkie. Mam na względzie wielkie niemieckie fabryki, domy handlowe, zakłady zabezpieczeń i t. d., które zarabiają na Polakach płacących im swój grosz.

Może nie uwierzycie, że firma, w której pisarz niniejszego artykułu ma posadę od kilku lat — proszę to zważyć dokładnie — od kilku lat nie otrzymała ani jednego listu polskiego, chociaż stoi ciągle w związkach z szerokiemi warstwami naszego społeczeństwa. Co gorsza niejednokrotnie nawet mężowie wybitni, wykształceni, i Niemcom dobrze znani z gorliwości narodowej piszą do nas — po niemiecku.

Jakież są skutki takiego postępowania? Nasi najserdeczniejsi tu w głębi Niemiec, nie obznajmieni dostatecznie z naszymi stosunkami, przychodzą do przekonania, że *gonimy ostatkami*, że sprawa nasza już upada i że obliczyć można na palcach, kiedy ostatni Polak w obrębie Rzeszy Niemieckiej zniknie. Już nieraz musiałem słyszeć zdanie, że większość Polaków wykształconych w wyższych szkołach niemieckich tak przesiąknęła niemczyzną i tak przylgnęła do „wyższej kultury“ niemieckiej, że się albo wstydzi używać na zewnątrz własnego pogardzonego języka, albo nie jest w stanie wysłowić się dobitnie „barbarzyńską“ swą mową. Jeżeli wcale potulny prostaczek zacznie łamać nędzną niemczyznę, wtedy go się uważa za nieuka, za półbydlę, które umysłem nie może się równać z Germanami obdarzonymi nadzwyczaj hojnie wszelkiemi zdolnościami!

Rodacy! tu musi nastąpić konieczna zmiana. Od ludzi zarabiających na nas możemy śmiało żądać, żeby nas obsłu-

żono według naszego upodobania. Rosyaninowi, Włochowi, Hiszpanowi i t. d. nie odważyłby się kupiec Niemiec napisać lub odpowiedzieć w swoim języku. Czemużbyśmy sobie nie mieli wywalczyć takiego samego uwzględnienia?

Ale trzeba się zabrać stanowczo i systematycznie do dzieła. Jeżeli ten i ów z nas upomni się niekiedy swego prawa, to nie osięgnie niczego; wtedy zapewne zbędzie się go błahymi frazesami, ale niech w tym kierunku szerokie koła, stowarzyszenia nasze i spółki działają zgodnie, to Niemiec dla miłego grosza *nie będzie się śmiał oprzeć naszym wymaganiom* a, i choć może zgrzycząc zębami, zgodzi się na polską korespondencyą, aby nie utracić kilku set odbiorców. Te firmy, które się zastósują do naszych życzeń, powinniśmy wspierać a polecać, takie znowu, które nam się sprzeciwią, piętnować publicznie, w gazetach, przy każdej sposobności.

Obecna pora jest nadzwyczaj stosowna do wykonania powyższego zamiaru. Niemcy znajdują się w trudnem położeniu gospodarczem; tem przystępniejsi przeto będą dla naszych wymagań. Skoro tylko będziemy mieć powodzenie u kilku firm, współzawodnictwo zmusi i inne do ustępstwa.

A więc jeszcze raz, rodacy, przyłóżmy stanowczo i zgodnie rękę do dzieła, a owoce będą błogie, łącznością jużeśmy wiele osięgnęli a osięgniemy jeszcze więcej. *Piszmy do niemieckich firm zawsze po polsku* a żądajmy wszyscy polskiej odpowiedzi, jeżeli potrzeba groźmy zerwaniem stosunków handlowych. Niemiec da sobie radę z naszymi listami; czego nie zrozumie sam, każe sobie przetłómaczyć. Gdy sobie postąpimy zręcznie, to nie tylko odniesiemy nowe zwycięstwo moralne, lecz zarazem przysporzymy naszej sprawie materyalnych korzyści, przymuszając Niemców do dawania zarobku tłómaczom lub korespondentom Polakom.

B. W.

* * *

Lwów, 10 b. m.

(40-ta rocznica.)

Za dni kilka dobiega lat 40 od owej chwili, w której to młodzież w Królestwie porwała się z kijami na bagnety — aby krwią swoją okupić wolność Ojczyzny. We Lwowie powzięto myśl uroczystego obchodu tej rocznicy. Program obchodu napotkał jednakże na poważną krytykę. I tak jeden z najwybitniejszych w Galicyi patryotów i polityków pisze w „Nowej Reformie:“

„Że obywatelstwo lwowskie postanowiło w roku bieżącym obchodzić tę rocznicę w sposób bardziej uroczysty, niż co roku bywało, świadczy chlubnie o jego patryotycznych uczuciach. Może w tem być pewna niecierpliwość, chęć przyspieszenia jubileuszu, który snadniej za lat 10, w półwiekową rocznicę, mógłby się odbyć, ale tej niecierpliwości przyganiać trudno. Rzecz cała w tem, jaką cechę, jaki kierunek nadać temu obchodowi. A pod tym względem nie może być dwóch zdań, że główną wagę należy położyć na utrwalenie w opinii ogółu polskiego przewodniej idei tego powstania. Tą ideą było *odrodzenie narodu przez uobywatelenie ludu, przez wcielenie w całe nasze narodowe życie zasady społecznej sprawiedliwości.* W manifeście styczniowym Rządu Narodowego, w Złotej Hramocie, powstanie styczniowe tę ideę zadokumentowało i na sztandarze swym wypisało, a ta krew, która w obronie tej sprawy w ziemię polską tak obficie wsiąkła, użyźniła naszą narodową glebę tak, iż po powstaniu w tej głównie idei streszcza się praca i walka dalszych pokoleń polskich. Ta przewodnia myśl powstania styczniowego była tem, co w niem jedynie zwyciężyło i zatryumfowało; wszystko inne było straszną klęską. Ona przeto ma na tym obchodzie zająć miejsce na ołtarzu czci narodowej. Stwierdzeniu jej zwycięztwa, jej niespożytej żywotności, uświadomieniu jej we wszystkich warstwach społeczeństwa, nierozerwalnemu jej zespoleniu z wszelkiemi politycznemi, państwowemi dążeniami narodu polskiego, ma być ten obchód poświęcony. To powinno na nim wystąpić w całej czystości, bez jakiejkolwiek innej przymieszki.

A z tego założenia wychodząc, bardzo wielu a bardzo poważnych uczestników powstania styczniowego zastrzega się przeciw temu ustępowi programu, iż „z katedry zdąży pochód do teatru, gdzie prezydent dr. Małachowski uczestnikom powstania r. 1863 *wręczy medale pamiątkowe*, sporządzone kosztem gminy“. Medali tych ma być wydanych atoli tylko *150* . . .

„Z pewnością nikt nie przyjąłby tego daru, gdyby wiedział, *że nie wszystkim on się dostanie.* A wszystkim to znaczy wydatek bardzo wielki, a zarazem i wielka trudność sprawdzania. Powstanie nie miało „list prezencyjnych“ na któreby się każdy jego uczestnik mógł powołać.

„Oto powód, dla którego wielu poważnych uczestników powstania przeciw owemu rozdawnictwu medali stanowczo się zastrzega. Poczuwałem się do obowiązku wypowiedzenia tych uwag, nie dla jałowej krytyki, ale w tym celu, aby ile możności zapobiedz rzeczy niewłaściwej. Niech w dniu obchodu odbędą się jak najliczniejsze odczyty dla szerokiej publiczności w salach różnych stowarzyszeń, niech cały obchód będzie poświęcony tej myśli narodowej, jaka się w powstaniu wyraziła i przez powstanie następnym pokoleniom przekazaną została; słowem, niech on będzie propagandą, posiewem dobrym. Ale niech unika wszystkiego, coby miało jakąś cechę osobistą.“

Lwowianin.

Oświadczenie.

Liczne pisma polskie w ostatnich czasach z uporem głoszą, że P. T. W. na Śl. wywiesiło hasło: „precz z centrum.“ — Wobec tego P. T. W. przypomina ustęp z programowej swej odezwy odnoszący się do centrum:

„My nie zwracamy się przeciw centrum jako stronnictwu katolickiemu, bo jako katolicy zawsze pójdziemy z niem ręka w rękę w sprawach religijnych. Zwracamy się przeciw centrum raz dlatego, że żaden Niemiec nie ma prawa wyciągać ręki po mandat polski, dalej, że centrum nabiera coraz bardziej cechę partyi rządowej, w końcu, że zwolennicy jego u nas uprawiają politykę germanizacyjną.“

Z ustępu tego jasno wynika, że pomiędzy P. T. W., a centrowcami śląskimi obecnie spór główny toczy się o mandaty z polskich okręgów ślązkich.

Na podstawie słów powyższych każdy człowiek dobrej woli należycie zrozumieć musi stosunek nasz do centrum.

Polskie Tow. Wyborcze na Śląsk.



Żyrondyści prowadzeni na szafot.

Malował C. Piloty.

DRUKIEM „PRACY."

Dział illustrowany.

INGRES BISKUPI.

(DO ILLUSTRACYI.)

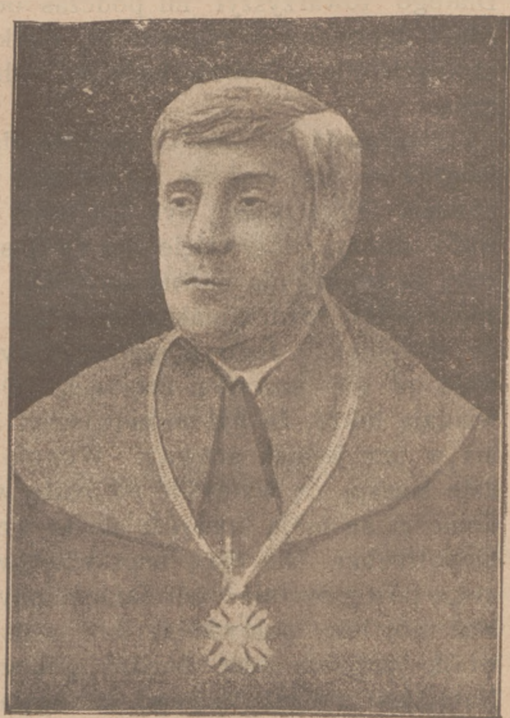
Dnia 30 grudnia r. z., starożytne miasto Sandomierz w Kongresówce w guberni Radomskiej, obchodziło wielkie święto — bo uroczyste wejście do katedry nowego swego Biskupa — księdza Stefana Aleksandra Zwierowicza.

Po drodze do Sandomierza — w Ostrowcu, a zwłaszcza w Opatowie już ludność miejscowa urządziła jak najserdeczniejsze przywitanie dla swego Pasterza. Do Sandomierza zaś zjechało się z tej okazyi mnóstwo ziemian, duchowieństwa, ludu sandomirskiego a wszyscy przybyli tam z uczuciem radości, że mają swego zwierzchniego pasterza dusz.

J. E. ksiądz biskup Zwierowicz urodził się dnia 26 grudnia r. 1842-go w powiecie bialskim w guberni grodzieńskiej, a po ukończeniu gimnazyum w Białymstoku, wstąpił do seminaryum duchownego w Wilnie, skąd udał się na studya teologiczne do akademii duchownej w Petersburgu. Otrzymawszy święcenie kapłańskie pełnił dzisiejszy Dostojnik Kościoła różne obowiązki pasterskie: był wikaryuszem, nauczycielem religii w szkołach, profesorem i przełożonym seminaryum duchownego w Wilnie, aż wreszcie dnia 21-go lipca roku 1897 przeznaczono Go na biskupa Wileńskiego, a teraz pospieszył On pasterzować dyecezyi Sandomirskiej. — O godzinie 10-ej z rana rozpoczął się pochód przed katedrę, w którym wzięło udział duchowieństwo z ks. prałatem Bagińskim na czele, oraz tłum ludu. Baldachim nieśli ziemianie: Kamocki i Targowski, mieszczanie: Stróżyński i Marczewski, włościanie: Zielik i Swierkula. Panny sypały kwiaty przed baldachimem.

Brewa papieskie odczytał ks. prałat Bułakowski, mowę powitalną wygłosił ks. prałat Bagiński. Ks. biskup odpowiedział od tronu w słowach następujących do kapłanów: „Biskup stoi na straży Domu Bożego w myśl Zbawiciela, iż „dobry pasterz powinien pracować dla owczarni.“

Do ludu: „Z modlitwą do Boga i błogosławieństwem apostolskiem wszedłem do Sandomierza. Panie, czy jestem potrzebny temu ludowi? Stajecie się mojemi owieczkami, a ja sługą waszym. Godłem mojem będzie miłość i sprawiedliwość dla wszystkich. Błogosławię was, wasze domy i pola. Niech błogosławiony będzie Bóg!“



J. E. ksiądz biskup Zwierowicz.

Nastąpiło homagium i suma.

O godzinie 12-ej udały się delegacye do pałacu biskupiego. O godzinie 6-ej wieczorem odbył się obiad na 300 osób.

Stolica biskupia Sandomierz, miasto powiatowe, należy do miast starożytnych i historycznych; założono je w r. 1236. Z tych czasów posiada Sandomierz zamek starożytny, wzniesiony na skale spadzistej, dalej piękną katedrę, gimnazyum, 2 fabryki cukru itd., mieszkańców liczy przeszło 6,000.

W XIII-ym wieku był Sandomierz stolicą kraju i rezydencyą książąt panujących. Tatarzy złupili i spalili miasto w latach 1240 i 1259. Za panowania Kazimierza W. Sandomierz odbudowany na nowo tak się podniósł przez handel i przemysł, że należał do rzędu pierwszorzędnych miast Polski. W r. 1655 zburzyli to kwitnące miasto Szwedzi. Tutaj odbył się w 1570 r. główny synod dysydentów wszelkich wyznań, na którym uchwalono tak zw. *Consensus Sandomiriensis,* tutaj zawarto konfederacyą sojuszników króla Augusta przeciw Karolowi XII, tutaj wreszcie między innemi stoczyli Polacy pod murami miasta gorącą potyczkę z Austryakami.

Oby Jego Eminencya ksiądz biskup Zwierowicz jak najdłużej przy czerstwem zdrowiu z łaski Najwyższego raczył pasterzować na Swej stolicy biskupiej!

—ski.

Awantury dworskie.

(DO ILLUSTRACYI.)

Niegdyś słynne przysłowie głosiło: „żeń się, Austryo szczęśliwa“ — w ostatnich jednak czasach rodzina arcyksiążąt austryackich jest właśnie widownią małżeństw nieszczęśliwych. Kilka już wypadków zadało kłam szczęśliwym ożenkom arcyksiążęcym, ostatni zaś, dotyczący arcyksiężniczki Ludwiki, oraz brata jej Leopolda Ferdynanda, wywołał w świecie całym zdumienie. Arcyksiężniczka, będąca żoną następcy tronu saskiego, Fryderyka Augusta, uciekła od swego męża, brat jej zaś wystąpił z dworu cesarskiego, zwrócił głowie rodziny, cesarzowi Franciszkowi Józefowi, wszelkie ordery i oznaki arcyksiążęce, aby jako zwykły śmiertelnik połączyć się mógł z drugorzędną aktorką niemiecką, panną Adamovics.



Saska następczyni tronu Ludwika Antonina Marya ur. arcyksiężniczka toskańsko-austryacka.

Arcyksiężniczka postanowiła nadto starać się o rozwiązanie małżeństwa swego z dotychczasowym swym mężem, następcą tronu saskiego, a następnie poślubić niejakiego Girona, Francuza, który był nauczycielem jej dzieci.

Arcyksiążę Leopold Ferdynand oddawna już byl głośny, skutkiem swego krewkiego i awanturniczego usposobienia. Niejeden wybryk uchodził mu płazem, dzięki temu tylko, iż sprawca należał do rodziny arcyksiążęcej. Ztąd też w Austryi arcyksiążę nie cieszył się sympatyą. Siostra jego nie miała okazyi do „występów“, publicznych, ale w otoczeniu dworskiem w Dreźnie mówiono już od dawna, iż jest ona przyczyną zajść przykrych a nawet skandalicznych na dworze saskim.

Awanturnicza ta para obecnie mieszka w Genewie i prawdopodobnie zyska tam obywatelstwo miejscowe. Dwory austryacki i saski niewiele stracą na usunięciu się tej pary, która, zająwszy obecnie cały świat swem skandalicznem postąpieniem, niebawem pogrąży się w fali zapomnienia.

* * *

Korespondent wiedeńskiej „Zeit“ odwiedził w Genewie księżnę saską i w dłuższej korespondencji zdaje sprawę ze swoich wrażeń, oraz opowiadań księżnej i Girona.

— Nieraz już chciałam uciekać — mówiła księżna między innemi. — Dawno już doznawałam tego dręczonego uczucia, że w każdym zakątku ziemi byłoby mi lepiej, niż tam na dworze. Mój brat Leopold wie, jak bardzo cierpiałam w Dreźnie. I dlatego też przyjeżdżał do mnie tak często, aby mnie pocieszać. Zarzucają mu teraz, że on właśnie nakłonił mnie do ucieczki; ale to nieprawda. Wiedział tylko, że na próżnoby przeszkadzał moim zamiarom. Dlatego towarzyszył mi podczas odjazdu i dopomógł w pierwszych ciężkich chwilach. Za to zawsze będę mu wdzięczną.

Nieprawdą też jest — mówiła dalej księżna — aby mąż źle się ze mną obchodził. Przeciwnie, był dla mnie zawsze dobry, oczywiście na swój sposób; za to zaś nie można go winić, że sposób ten rozdrażniał mnie i był nie do zniesienia. Jego uprzejmość wydawała mi się szorstką, dręczącą. Opowiadają także, że był mi niewierny. Nie ma w tem jednak prawdy. Wogóle ludzie starają się wymyślić rozmaite wiadomości na moją korzyść; ale to wcale niepotrzebne. Nie chcę usprawiedliwiać mego postępowania oczernianiem innych. Mąż mój lubi polowania, lubi wojskowość, przytem jest bardzo pobożny. Natomiast nie ma żadnego zamiłowania do nauki, sztuk pięknych, teatru, literatury, a nawet wydawało mu się zdrożnem, że ja się tem zajmuję. Zresztą kochał mnie bardzo i jeszcze dzisiaj kocha.

Natomiast stosunki, panujące na dworze, były — zdaniem księżnej — istotnie nie do zniesienia. Zrazu sądziła, że potrafi się nagiąć do nich i pozyskać sympatję otaczających ją; ale niebawem przekonała się o bezskuteczności tych usiłowań. Nie okazywano jej wprawdzie niechęci, ale przyjmowano ją bardzo zimno, a w takiej atmosferze żyć nie mogła. Pogłoski o areszcie domowym są nieuzasadnione. Powstały one stąd, że księżna nieraz rozgoryczona i zagniewana, kilka dni nie wychodziła ze swoich apartamentów.

O ucieczce opowiada księżna następujące szczegóły:

Z bratem Leopoldem spotkałam się w Monachium, ale nie mogłam z nim mówić. Wszedł do mojego przedziału, ponieważ jednak dwór był przy mnie, nie mogłam go o nic zapytać. Ale zamieniwszy kilka spojrzeń, niebawem wiedzieliśmy oboje jak się sprawa przedstawia. Tak jechaliśmy aż do Rosenheim. Podczas całej podróży poruszałam się nerwowo, nie mogłam znaleść sobie miejsca. Przesłałam niedawno przedtem Leopoldowi listy, aby je doręczył Gironowi; obecnie miałam otrzymać odpowiedź. Od tygodnia nie miałam żadnej odpowiedzi ani od brata ani od Girona. Nie wiedziałam co zaszło, i to mnie denerwowało. Czyżby Giron zaginął? Czy stało mu się coś złego? Czy może listy przejęto? I otoż Leopold siedział naprzeciw mnie, a nie mogłam go zapytać. Marszałek dworu Tümpling, który zauważył mój niepokój i przypuszczał, że chcę pomówić z bratem sam na sam, rzekł nagle:



Francuz Giron, kochanek saskiej następczyni tronu.

— W Rosenheim wysiądę, a wasze wysokości zostaną same.

Musiałam się powstrzymać całą siłą, aby nie wybuchnąć radością. Ale chciałam też coś powiedzieć, aby Leopold zrozumiał moje plany.

— Uważaj pan! — zawołałam do Tümplinga.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Uważaj pan na pociąg — odpowiedziałam — inaczej następczyni tronu gotowa gdzieś zbiedz, a co zrobisz pan wtedy?

Tümpling uśmiechnął się, nieco zakłopotany, a Leopold wiedział już teraz jaki mam zamiar. Od Rosenheimu do Salcburga omówiliśmy wszystko. Listy, jakich oczekiwałam, zostały przejęte, sieć zaciskała się coraz szczelniej dokoła mnie. W Salcburgu nie mogliśmy już znieść tej niepewności. Obawialiśmy się każdej chwili, aby się nie

zdradzić, wydawało się nam, że każdy czyta w naszych twarzach nasze zamiary. Dlatego też wyjechaliśmy o kilka dni wcześniej, niż zamierzaliśmy pierwotnie.



Arcyksiążę toskańsko-austryacki Leopold Ferdynand, brat saskiej następczyni tronu.

Obecnie jestem przynajmniej wolna — kończyła księżna. — Nareszcie nie zależę od nikogo, a moja ochmistrzyni dworu może sobie pochlebiać, że spowodowała przyśpieszenie postanowienia. Kobieta ta czuwała nademną, jak Argus. Nic nie mogło ujść jej wzroku.



Aktorka Adamowics,
kochanka arcyksięcia Leopolda Ferdynanda.

A przytem obchodziła się ze mną, jak z dziewczynką ze szkoły, którą się gani i chwali i nakłania do dobrego. Zabawnem też było, a i inni śmieli się z tego, że ta starowina kopjowała wszystkie moje toalety. Zawsze musiała się ubierać tak samo, jak ja. *K. P*

Wenezuela i jej mieszkańcy.

(Do illustracyi).

Od kilku tygodni czytamy w „Pracy“ wiadomości o zatargu pomiędzy Wenezuelą z jednej strony, a Niemcami i Anglią — z drugiej.

Cóż to jest za kraj ta Wenezuela, jacy tam ludzie mieszkają i jak żyją?

Otóż kraj to zamorski, daleki, leżący na zachód od nas w Ameryce południowej, w odległości przeszło tysiąca mil. Od strony północnej oblewa Wenezuelę ocean Atlantycki, od południa graniczy ona z Brazylią, na zachód ma kraj Kolumbię, a na wschód kolonię angielską, Gujanę.

Zajmuje Wenezuela obszar niemały; dwa i pół raza większy od całych Niemiec, a 11 razy większy od 10 guberni Królestwa Polskiego. Ale za to ludności ma bardzo nie wiele — niespełna 2 i pół miliona, gdy w granicach Królestwa Polskiego jest blisko 11 milionów ludzi, to jest pięć razy więcej, niż w Wenezueli.



Prezydent Wenezueli Cyprian Castro.

Nazwa „Wenezuela“ znaczy po hiszpańsku: „Mała Wenecya.“ Nazwę taką odkrywca tego kraju, Hiszpan Ojeda, nadał pewnej wiosce indyjskiej, której chaty zbudowane były nad brzegiem morza na pomostach, ułożonych na palach, wbitych w dno wody. Że zaś miasto Wenecya zbudowane jest na wysepkach i także zewsząd wodą oblane, przeto ową wioskę nawodną nazwano „Małą Wenecyą“, która to nazwa przeszła potem na cały kraj.

Od czasu odkrycia, to jest od szesnastego wieku, aż do początku dziewiętnastego stulecia Wenezuela była kolonią hiszpańską, jak wszystkie kolonie Hiszpanów, wyzyskiwana przez nich i w najwyższym stopniu zaniedbana. Dopiero po oswobodzeniu się od Hiszpanów kraj ten zaczął się nieco rozwijać, chociaż daleko mu jeszcze do rozkwitu.

Jak każdy kraj obszerny i Wenezuela nie wszędzie przedstawia się jednakowo.

Nad samem morzem ciągnie się tam bagnista nizina, niesłychanie gorąca i niezdrowa, prawdziwa kraina żółtej febry, która dziesiątkuje ludność. Ciepło rzadko bywa mniejsze nad 24 stopnie, a nieraz przewyższa stopni 30.

W tym pasie leżą miasta nadbrzeżne Wenezueli: Marakaibo, zbudowane na miejscu owej dawnej „Małej Wenecyi,“ Puerto-Kabello, La-Guaira i inne, przeważnie drobne porty, z ludnością dochodzącą zaledwie do 10 tysięcy, lecz ważne z powodu ożywionego handlu.

Zachodnią część kraju wypełnia wielki łańcuch gór, dochodzących do paru wiorst wysokości, których szczyty, pomimo panującego u stóp gorąca, pokryte są śniegami.

Największą, środkową część Wenezueli zajmuje ogromna, porosła wysoką trawą równina, zwana „ljanos.“ Jestto jeden z najpiękniejszych stepów Ameryki południowej. Równy, jak stół, gdzieniegdzie tylko przedstawia płaskie wyniosłości, ze sterczącemi kępami palm, skały wapienne, resztki dawnych wysp, jakie wyłaniały się z morza, które niegdyś cały ten obszar zalewało.

Środkiem stepu płynie wspaniała rzeka Orynoko — dwa razy dłuższa od Wisły, z mnóstwem dopływów, wpadających z prawej i lewej strony. W niektórych miejscach dochodzi ona do niezwykłej szerokości, a przy ujściu rozlewa się obszernie, tworząc liczne rozwidlenia. Niedaleko od swoich źródlisk Orynoko daje gałąź, która napotkawszy wzgórza, kieruje się na południe i wpada do jednego z dopływów rzeki Amazonki. W ten sposób dwie wielkie rzekl amerykańskie — Amazonka i Orynoko — łączą się zapomocą przyrodzonego przepływu.

Podczas pory deszczowej, która tam przypada na początek lata, Orynoko i jej dopływy wylewają i zatapiają cały step, czyniąc z niego jakby jedno wielkie jezioro. Potem, skoro wody opadną, zostawiając żyzny namuł, step pod palącemi promieniami słońca w krótkim czasie odżywa, pokrywając się bujną trawą i ziołami. Wtedy schodzą z okolic wzgórzystych niezliczone stada bydła nawpół dzikiego, które pasie się tutaj pod dozorem również dzikich pastuchów, zwanych „ljanerami.“ Okryty byle szmatą, albo zupełnie prawie nagi, uzbrojony długą dzidą, „ljanero“ całe miesiące żyje na stepie, upędzając się konno za swymi niesfornymi rogatymi wychowańcami. Tak jest aż do końca lata. Wtedy nastaje pora suszy. Słońce wypala wszystką trawę. Wody wysychają. Cały step przybiera smutną szaro-brunatną barwę. Dokoła sterczą zeschłe ostre badyle, wśród których z sze-

lestem przemykają się zgrabne jelenie, uciekając przed pogonią dzikiego jaguara; dołem suną groźne jadowite węże lub wysuwa z błota straszną paszczę kajman — ogromna krwiożercza jaszczurka, pożerająca nawet duże zwierzęta i ludzi. Na wszystkie strony widać łuny pożarów, to mieszkańcy palą step, żeby na spalenisku na drugi rok jeszcze bujniejsza trawa wyrosła.

Południowo-wschodnia część Wenezueli, na prawym brzegu rzeki Orynoko, staje się coraz bardziej pagórkowatą, aż powoli przechodzi w górzystą krainę, z powietrzem nieco mniej gorącem i zdrowem. Góry tamtejsze obfitują w srebro, złoto i miedź, a boki ich pokryte są gęstymi lasami. Lasy te przypominają pierwotne puszcze Brazylii. Też same olbrzymie palmy i inne drzewa, oplecione gęsto pnącemi się krzewami, stada małp skaczą po gałęziach, wyjąc przeraźliwie; wśród liści migają zielone i czerwone papugi, kąpią się w słońcu lśniące ptaszki kolibry i różnobarwne wielkie motyle.

Ludność pierwotną Wenezueli stanowili czerwonoskórzy Indjanie, których jednak hiszpańscy zdobywcy i plantatorzy przeważnie wytępili. Dziś resztki ich żyją w lesistych i górzystych okolicach, zajmując się pasterstwem, myśliwstwem i rybołóstwem. Z nich głównie pochodzą nieustraszeni „ljaneros“, dozorcy stad na stepie.

Drugą część ludności, jak wszędzie w Ameryce składają, dawniejsi niewolnicy, Murzyni. W miastach stanowią oni uboższą klasę mieszkańców, zajmując się służbą u ludzi zamożniejszych, przenoszeniem towarów w miastach portowych, rzemiosłami, handlem itp.

Największą część ludności dają mieszkańcy, zwani mulatami i metysami. Mulaci pochodzą od białych i Murzynów, metysi — od białych i Indjan. Potomkowie dawnych osiedleńców hiszpańskich zowią się kreolami i uważają siebie za coś nieskończenie wyższego od mieszkańców, chociaż i w ich krwi niewątpliwie dużo jest domieszki murzyńskiej lub indyjskiej. Prócz tego jest trzydzieści kilka tysięcy kolonistów z Europy — Niemców, Anglików i Włochów. Prócz dzikich Indjan, zresztą Wenezuelczycy są katolikami.

Rolnictwo, hodowla bydla i handel stanowią główne zajęcie mieszkańców. Zbóż naszych tam nie uprawiają, pszenicę przywożą z za granicy, natomiast hodują powszechnie kukurydzę, oraz banany i pizangi. Obficie rodzące owoce tych roślin, w stanie niedojrzałym są soczyste a po dojrzeniu stają się mączystemi i dostarczają wybornego pieczywa. W gorącym pasie nadbrzeżnym wielkie przestrzenie obsadzone są drzewami kakaowemi. Owoce ich podobne do ogromnych strąków, napełnione są dużemi ziarnami, które po ususzeniu i zmieleniu dają proszek kakaowy, idący na wyrób czekolady. Wenezuela prowadzi znaczny handel temi ziarnami kakaowemi.



Żołnierz wenezuelski.

W górskich lasach tamtejszych rośnie drzewo chinowe, którego kora dostarcza znanego proszku przeciwko febrze. W dolinach uprawia się kawa; w lasach zbierają długie strąki pachnącej wanilii. Liczne gatunki palm i innych drzew dostarczają nietylko wybornych owoców, ale i materyału budowlanego. Są tam palmy z liśćmi tak wielkimi, że pod jednym dziesięciu ludzi schronić się może przed ulewą.



Wenezuelczycy.

Słowem — kraj jest bogaty, kwitnący — zanadto nawet uposażony od przyrody — i dlatego może ludność jest rozpróżniaczona, leniwa, lubiąca się więcej bawić, niż pracować. Podróżnicy wcale nie zachwycają się Wenezuelczykami. Ciemni, przesądni, niesłychanie brudni i obdarci, słyną oni z lekkich obyczajów, zamiłowania do kart i innych zabaw, które człowiekowi rozumnemu wydają się obrzydliwemi.

Jedną z takich zabaw jest ulubiona „walka kogutów“, którą można spotkać tutaj na każdym kroku, gdzie tylko zbiera się więcej ludzi. Dokoła niewielkiego placyku, posypanego piaskiem, zasiadają widzowie. Na plac puszczają dwa koguty, oskubane tak, że tylko na głowie, szyi, skrzydłach i ogonie zostawiono im nieco piór. Przez kilka dni przed walką trzymają je w ciemnym kurniku, żeby doprowadzić je do jeszcze większej złości. Wypuszczone na plac ptaki rzucają się na siebie z zajadłością, starając się uderzyć przeciwnika ostrogami, umyślnie jeszcze zaostrzonemi przez ich właścicieli. Głupie ptaki walczą ze sobą, póki jeden drugiemu nie wybije oka, lub nie porani go śmiertelnie — a gawiedź stoi dokoła, przyjmując śmiechem i okrzykami każdą dobrze zadaną ranę.

Kiedyindziej ljanerosi urządzają walki i gonitwy byków. Często, zamiast kogutów i byków, można widzieć na ulicy walkę ludzi.

Oto dwaj Murzyni pokłócili się czegoś przy wodzie — kłótnia musi się zakończyć pojedynkiem na kułaki. Przeciwnicy, zdjąwszy koszule, najpierw, jak każe obyczaj z rękami skrzyżowanemi, z pochylonemi głowami, biegną szybko naprzeciw siebie, starają się raz i drugi uderzyć mocno wzajem swemi kędzierzawemi czuprynami. Potem następuje właściwa długa walka na kułaki, kończąca się zazwyczaj rozmiażdżeniem nosa, wybiciem kilku zębów lub innem podobnem krwawem zadosyćuczynieniem — ku wielkiej uciesze tłumu, który stoi dokoła, podniecając zaciekłość walczących i szczując ich na siebie, póki krew obficie się nie poleje.

Jak wszędzie jednak, tak i w Wenezueli, obyczaje powoli zaczynają się zmieniać na lepsze, a troska o rozwój umysłowy i moralny ludności staje się coraz większą. W ciągu ostatnich lat dziesięciu otwarto blisko 2 tysiące szkół ludowych i założono kilkadziesiąt szkół wyższych. W mieście Karakasie, stolicy kraju, jest uniwersytet i inne wyższe zakłady nau-



Walka kogutów w Wenezueli.

kowe, są szkoły rzemiosł, seminaryum nauczycielskie i inne.

Jednocześnie zaczyna rozwijać się przemysł, powstają fabryki maszyn, wyrobów jedwabnych i bawełnianych, garbarnie, drukarnie i tp. Handel, szczególnie wywozowy, rozwija się coraz pomyślniej, obsługiwany przez trzy tysiące statków, co na nieznaczną ludność Wenezueli stanowi bardzo wiele.

Wenezuela jest rzeczpospolitą, złożoną ze związku 10 stanów. Każdy stan posiada własny zarząd. Na czele całego państwa stoi prezydent, obierany na lat dwa. Obecnie prezydentem jest Cypryan Castro, który do pomocy posiada siedmiu ministrów. Władza prawodawcza spoczywa w ręku senatu i izby posłów, wybieranych przez ludność na lat cztery. Wojska stałego jest 6 i pół tysiąca, w razie wojny stanąć może pod bronią 250 tysięcy ludzi tak zwanej milicji. Stolicą Wenezueli jest miasto Karakas, leżące o kilka mil w głębi lądu, lecz połączone koleją z portem Guairą. Miasto jest dziś piękne, posiada wspaniałą katedrę, kilkanaście kościołów i wiele ładnych budowli publicznych. Mieszkańców liczy 75 tysięcy. W roku 1812 straszne trzęsienie ziemi — jakie często zdarzają się w Wenezueli, zburzyło to miasto do szczętu; powoli dopiero odbudowało się ono i podnioslo. Dziś Karakas jest siedzibą prezydenta, arcybiskupa, głównem ogniskiem nauki, przemysłu i handlu Wenezueli.

M. Brzeziński.



Żyrondyści.

(Do illustracyi albumowej.)

Wyraz spolszczony Żyrondyści, pochodzący od francuzkiego wyrazu *Girondins*, oznacza nazwę umiarkowanego republikańskiego stronnictwa, rej wodzącego mianowicie w Paryżu podczas pierwszej francuzkiej rewolucyi. Pierwsi kierownicy pochodzili z departamentu *Gironde* i ztąd nazwa stronnictwa. Utworzony w październiku 1791 r. związek pod wodzą wymownych adwokatów Vergniaud'a, Guadet'a, Gensonné'a, Grangeneuve'a i kupca Ducos'a w krótkim czasie tak się rozwinął, iż przystąpili doń wybitni członkowie Centrum, mianowicie Condorcet, Fauchet, Lasource, Isnard, Kersaint i Henryk Larivière; wielki wpływ wywierała pani Roland. Żyrondyści zmusili króla Ludwika XVI do wyboru ministerstwa z pośród siebie oraz do wypowiedzenia wojny Austryi i Prusom (w kwietniu 1792 r.); oni to przeważnie żądali, aby wysłano na wygnanie wszystkich kapłanów, wzbraniających się w ich myśl złożyć przysięgę, dalej stawili także postulat, aby milicya zmobilizowana z wszystkich departamentów w sile 20,000 żołnierzy rozłożyła się obozem pod Paryżem. Król żądania odrzucił i dymisyonował gabinet Żyrondystów, skutkiem czego wybuchło powstanie w dniu 20 czerwca 1792 r. Atoli powstaniem tem Żyrondyści tylko sobie zaszkodzili bardzo, albowiem wywołali między innemi krwawe mordy wrześniowe i stracili zupełnie wpływ u pospólstwa paryzkiego. Stanowisko ich w konwencie narodowym zaczęło także być chwiejne i bezskuteczne, przyczem rozpoczęli występować nieprzyjaźnie i nienawistnie przeciw Jakobinom, a jakkolwiek usiłowali swe zasady republikańskie zadokumentować przez to, że zażądali kary śmierci dla wszystkich emigrantów i rojalistów, jednakże ich chwiejne stanowisko było widocznem podczas procesu króla: głosowali wprawdzie przeważnie za karą śmierci na króla, atoli usiłowali go od tejże uchronić, radząc mu, aby założył apelacyę do ludu. To chwiejne stanowisko Żyrondystów nie pomogło nic Ludwikowi XVI, (któremu gilotyna ucięła głowę dnia 21 stycznia 1793 r.,) owszem spowodowało ostatecznie ich porażkę: pospólstwo zbuntowało się przeciw nim zupełnie; wreszcie oskarżono ich o zdradę stanu, skutkiem czego skazano 22 przywódzców Żyrondystów w nocy z dnia 30 na 31 października 1793-go r. na śmierć. Natychmiast po ogłoszeniu wyroku poprowadzono skazańców na szafot. Chwilę tę przedstawia reprodukcya albumowego obrazu pędzla C. Piloty'ego. Na wozie spoczywają zwłoki Żyrondysty Valazé'a, który podczas odczytania wyroku przebił się sztyletem. Tłum pospólstwa otacza skazańców. W głębi po lewej stronie widzimy rusztowanie a na niem narzędzie śmierci, szafot. Obraz świadczy o rzeczywistym talencie słynnego malarza-artysty.

—ski.

Bez dachu.

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,
I brylantowych iskier błyskawice
Roztliła w śniegów pościeli.
Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały jak pieszczot ponęta,
Mówił do nocy tej: „Błogosławiona!"
Kto nie miał, mówił: „Przeklęta!"

A takich głosów było, ach! tysiące...
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...
O gwiazdy! czy Bóg je słyszy?

Patrzycie blade i ja patrzę blada,
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy! jeśli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę!...

* * *

O nocy srebrna! o nocy, królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...
A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą.

O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła?
Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba —
I tylko troszeczkę ciepła!

Ach! gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci...

I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jednę tę gwiazdę w błękicie,

Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze...
O nocy! idziesz cicha, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona;
A twoja srebrna, ciężka, długa szata
Całunem jest — dla miliona!

* * *

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tę mroźną zawieję. .
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
Że go ten kamień ogrzeje...
Leez stróż drzwi zamknął na rygle... i naraz
Łzy się dziecięce, jak perły, rozsnuły...
— „Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras
Dla wszystkich... śledztwo. . cyrkuły!“
Chłopczyna odszedł, płacząc. Tam — w oddali
Widać świątyni granitowe mury,
A ponad niemi mgła bladych opali,
A wyżej — lodowate chmury
I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem;
W powietrzu szronów latały dyamenty,
Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był [zamknięty,
Razem z litością — i z Bogiem.
Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami
I zbierał głodnych zziębniętych nędzarzy
I tulił u swych ołtarzy.

* * *

Skostniałe dziecię szklanemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga;
Chciało się skarżyć, lecz matki już nie ma,
Mówiło zatem do Boga:
— „Ojcze nasz“... Jakto, o synu królewski!
Ojca twojego narody zwią Bogiem,
A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski
Konasz, bez dachu, za progiem?
„Ojcze nasz“ mówisz .. a czyim ty bratem?
Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,
I głośnym, pełnym puharów wiwatem
Gasnące jęki twe głuszą?
„Ojcze nasz“... Boże, czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy zbielałe otwiera?
Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,
I z wiarą taką — umiera!

* * *

Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,
Zrazu gorętsza i błękitno biała,
Później — dziwnie przezroczysta;
Wreszcie zanikła... wpół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi...
Wobec ciemnego, milczącego gmachu
Dziecię skonało — bez dachu.

Marya Konopnicka.

Zapomniany bohater polski
z XVII wieku.

(Wspomnienie historyczne.)

Przed trzystu laty w 1602 r. urodził się w mieście Barze na Podolu Marek Jakimowski, syn ubogich rodziców szlacheckich, którego nazwisko miało później stać się głośnem w całej Europie przez czyn znamienitego bohaterstwa.

O Jakimowskim w 1623 r. wyszła w Rzymie książka po włosku z długim tytułem, tłomaczona na wszystkie języki a między innemi i na polski w 1628 r. w Krakowie wydana, później zaś w „Starożytnościach historycznych“ Michała Grabowskiego przedrukowana. Uważamy za rzecz ciekawą bohaterskiego szlachcica w trzechsetną rocznicę jego urodzin przypomnieć szerszemu ogółowi.

O precedencyi Marka Jakimowskiego nie zachowały się żadne szczegóły. To jedynie było wiadomem, że w 15 roku uciekłszy ze szkół, puścił się na wojaczkę. Wyrostkowie, zaciągający się do wojska, w owej epoce nie stanowili osobliwości, zwłaszcza gdy fizycznie bywali nad wiek rozwinięci.

Nasz Jakimowski do takich się zaliczał, skoro w pamiętnej porażce pod Cecorą 1620 r., gdzie padł w nierównej z pohańcami walce znamienity hetman Żółkiewski, walczył już jako doświadczony żołnierzyk, mimo młodocianego wieku. Nie zginął jak tylu innych, podzielających los wodza, lecz dostał się do niewoli tureckiej razem z 200 towarzyszami, których Turcy popędzili w jassyr. Jeńcy, a w ich liczbie Marek Jakimowski zostali wsadzeni na okręt podążając do Aleksandryi.

W drodze spotkała ich gwałtowna burza i okręt musiał szukać przytułku w porcie Stretto blizko wyspy Meteliny. Jeńcy byli skuci łańcuchami, gdy jednak zaszła pomoc szybkiego wiosłowania, aby jaknajrychlej dostać się do portu, kilkudziesięciu z nich kapitan turecki kazał rozkuć i pomięszał z załogą.

Między uwolnionymi chwilowo z kajdan jeńcami znalazł się Jakimowski. W okamgnieniu powziął on śmiały, lecz zarazem i zuchwały zamiar owładnięcia okrętem. Zwierza się tedy ze swego planu dwom towarzyszom niewoli: Stefanowi Szatanowskiemu i Janowi Stołczynie, którzy bez wahania przystają słuchać we wszystkiem Jachimowskiego. Ten zaś w szybkiem działaniu widział możliwość udania się ryzykowanego przedsięwzięcia.

Załoga turecka w dwójnasób przenosiła liczbę jeńców, z których tylko kilkudziesięciu miało swobodę działania, reszty bowiem przezorny kapitan nie pozwolił rozkuć. Ta szczupła garstka jeńców, uświadomiona przez Szatanowskiego i Stołczyna o co chodzi, na dany znak, gdy okręt wpływał do portu Stretto rzuca się na załogę turecką.

Jakimowski, wymierzywszy śmiertelny cios w głowę kapitana, dał sygnał do walki. Niespodziana gwałtowność zuchwałego napadu, śmierć wodza, oszołomiają Turków, którzy zrazu nie wiedzą jak się bronić. Gdy zaś po przyjściu pierwszej porażki, poczęli stawiać opór, liczba walczących o wolność już się powiększyła.

Inni jeńcy zostali szybko rozkuci, przyjmując udział w bitwie. W niedługim czasie okręt został opanowany. Kilkudziesięciu trupów i rannych zalegało pokład a reszta pokonanej załogi była skuta w te same łańcuchy, w których jęczeli jeńcy.

Lecz na tem nie koniec. Blizkość brzegów, gdzie stały inne okręty tureckie, groziła udaremnieniem całego przedsięwzięcia. Należało przed nastąpieniem dnia z niebezpiecznego punktu odpłynąć. Wprawdzie burza wciąż jeszcze trwała i groziła rozbiciem okrętu. Polacy jednak nie mieli innego wyboru, jak tylko uciekać. Lepsza śmierć w głębinach morza, niż czekające ich męczarnie od Turków.

Jakimowski, lubo po raz pierwszy w życiu znajdował się na morzu, obejmuje dowództwo po zabitym przez siebie kapitanie. Sternikowi tureckiemu, którego uwolnił z więzów, rozkazuje wypłynąć na pełne morze, obiecując wolność i sowitą nagrodę w razie szczę-



Bydło na stepach Wenezueli.

śliwej żeglugi, grożąc zaś śmiercią za najmniejszem podejrzeniem zdrady.

Sternik widząc determinacyą tych ludzi, którzy przed niczem się nie cofali, przystaje na wszystko i okręt w ciemnościach nocy wśród szalejącej burzy wypływa z portu znów na pełne morze.

Opatrzność sprzyjała śmiałkom, kiedy wątła łupina nie rozbiła się o skały, zewsząd w tym punkcie sterczące. Po paru dniach pełnej przygód i niebezpieczeństw żeglugi, okręt zawinął do Messyny.

Wieść o bohaterskim czynie Polaków sprawiła w całych Włoszech olbrzymie wrażenie. W Palermo przyjmował uratowanych jeńców wice-król nadzwyczaj uroczyście a Papież Paweł III przysłał gońca z zaproszeniem wszystkich do Rzymu.

Oprócz dwóch poległych w walce z załogą turecką, 168 żołnierzy polskich i 40 kobiet i dziewic uwolnionych przez Jakimowskiego z jassyru tureckiego podążyło do Wiecznego miasta. Kardynał Berberini oznajmił im wolę Ojca Ś-go, aby procesyonalnie weszli do Rzymu.

Jakoż w dniu 16 lutego 1621 roku odbyła się uroczysta procesya jeńców polskich, skierowana do kościoła Ś-go Stanisława, patrona polskiego. W świątyni tej jeńcy zawiesili zdobyte na Turkach chorągwie, poczem udali się do kościoła Ś-tej Zuzanny i Ś-go Hieronima, przy którym był szpital polski.

Tłumy Rzymian przyglądały się pochodowi, w którym brał udział i ów sternik turecki oświadczywszy przedtem zamiar przyjęcia religii Chrystusowej. Papież Paweł III rozkazał następnego dnia stawić się wszystkim przed obliczem swem. Zasiadłszy na tronie w otoczeniu kardynałów i całego dworu słuchał relacyi składanej mu przez kardynała Barberiniego, który umiejąc dobrze po polsku, był tłomaczem Marka Jakimowskiego, bohatera chwili.

Ojciec Ś-ty własnoręcznie ozdobił piersi Jakimowskiego krzyżem złotym i polecił nazwisko bohaterskiego szlachcica polskiego zapisać w honorową księgę znakomitych kawalerów tego orderu. Jednocześnie Jakimowski złożył u stóp Ojca Ś-go najwspanialszą chorągiew złotem haftowaną, zdobiąc główny maszt zdobytego okrętu tureckiego. Chorągiew tę Papież podarował kościołowi Najświętszej Maryi Panny, Rotunda zwanemu.

Inni jeńcy zostali obdarowani kosztownemi podarkami i opatrzeni pieniędzmi na drogę do kraju. Stanęli oni w Krakowie dnia 8 maja 1621 r. Wśród tłumów ludu udali się do kościoła Ś-go Michała na skałce i tam również złożyli jeszcze jedną chorągiew turecką.

Książka włoska, opisująca wszystkie powyższe szczegóły, nadmienia wreszcie o pewnym romantycznym epizodzie. Z pośród uwolnionych z jassyru tureckiego dziewic na zdobytym okręcie znajdowała się jedna Polka przecudnej urody. Piękność tej Polki zwracała powszechną uwagę w Rzymie, tak że dwaj słynni malarze wykonali jej portret. Autor nadmienia, że Jakimowski z dziewicą tą, której nazwiska nie podaje, w Rzymie zaręczył się a w Krakowie ją poślubił.

Jakie były dalsze losy bohaterskiego młodzieńca? – nic nie wiemy. Dziwna rzecz, że nazwisko Jakimowskiego, tak wsławione i głośne w całej Europie, w dziejach krajowych nie jest nigdzie później wspomniane.

Trudno przypuścić, aby waleczny młodzieniec po wczesnem ożenku z ową cudnie piękną branką rodaczką, zniknął z widowni publicznej i zamienił się w cichego spokojnego hreczkosieja, zwłaszcza gdy epoka, która niebawem nastąpiła, nie była wcale spokojną. Prędzej należy przypuścić, że Marek Jakimowski młodo umarł, nie mógł więc odznaczyć się nowemi czynami męstwa wojennego.

Zajaśniał jak meteor i jak meteor zgasł szybko, ale nazwisko Marka Jakimowskiego, dzięki włoskiemu autorowi przeszło do historyi i w szeregu krótkotrwałych bohaterów wojennych zajmuje poczesne miejsce.

S. Antoniewski.



Kłusownik.

(Opowiadanie myśliwego.)

Nazywał się Madek; był to silny i dorodny chłopiec. Na wiosnę pasał konie z okolicznych folwarków, z nastaniem zaś lata udawał się na żniwo. Codzień w pośród chylących się pod powiewem wiatru kłosów, zlany potem, z roztwartą na piersiach koszulą, postępował, kołysząc się, miarowym krokiem naprzód i w takt z chodem wymachiwał rękami. Nie patrzył jednak na cienkie, kładące się z przeciągłym szelestem jedwabiu łodygi; całą jego uwagę pochłaniała odkrywająca się śladem jego kosy ziemia, zasiana tu i owdzie kamykami, najeżona gęstą, złotawą ściernią, gdzie między bruzdami, w cieniu, ptactwo ścieliło swe gniazda. Wstrzymywał nagle swą kosę, gdy wystraszone jego ciężkiem stąpaniem uciekały młode kuropatwy, próbując swych wątłych jeszcze skrzydełek. I wtedy w głębi jego jasnych oczu można było dostrzedz jakby rzewne spojrzenie, śledzące małe stworzonka i pieszczące ich gniazda.

A jednak był to zawołany kłusownik, znany w całej okolicy, postrach wszystkich myśliwych na dziesięć mil dokoła.

Skoro tylko w sierpniu na murach wsi ukazały się obwieszczenia o otwarciu polowania, zaprzestawał wszelkiej pracy, spędzając swój czas na uwijaniu się po polach i lasach, wiedząc lepiej, aniżeli ktokolwiek o kryjówkach i legowiskach wszelkiego rodzaju zwierzyny: o jamach króliczych, o kotlinach zajęczych, hreczkach, gdzie nocują bażanty, o trawach, gdzie żerują kuropatwy i przepiórki. A kiedy noc zapadła, zapuszczał się w gąszcze leśne z ukrytemi pod surdutem łapkami i sidłami, i wracał do domu z owocami swoich łowów na plecach nie prędzej aż gwiazdy przybladły, aż świt na wschodzie zaróżowił niebo.

Dwa, czy trzy razy złapano go na gorącym uczynku; poddał się bez oporu, spoglądając z uśmiechem na rozżartych dozorców.

— Szkoda! — mówił — wypatrzyłem właśnie stadko sarn. Powiedziałbym wam gdzie są, ale nie potrafilibyście ich znaleźć.

Później, stawał przed trybunałem, a skazany mówił odprowadzającym go do aresztu żandarmom:

— To żadna hańba! A wreszcie, co chcecie, mam to już we krwi; lubię polowanie!

Z aresztu wychodził bez żalu, a odwet swój ograniczał do zdwojonych w swoich kłusowniczych wyprawach wytrwałości i zręczności.

Mówiono mu:

— Czy nigdy się już nie poprawisz?

— A to po co? Sobie tylko źle robię... Ah! gdybym był żonatym....

I tak, podczas gdy jego młodość, zręczność zawracały w głowie dziewczętom, jego uprzejmość i dobroć sprawiały, że wszyscy ludzie we wsi patrzyli pobłażliwie na jego namiętność.

Miał jednak jednego nieprzyjaciela, a tym był pan zamku, który ze szczególnem upodobaniem kazał go prześladować swoim złym, okrutnym dozorcom, skarżyć do sądu. Często zachodziły między nimi spory.

— Ależ, panie hrabio, ograniczenia w polowaniu nie rozumiem. Zwierzyna należy do wszystkich; to tak, jak słońce od Boga. Na swoich polach tyle pan posiada wszystkiego, że bez tego, co nad niemi lata i po nich biega, może się pan obejść.

— Takie prawo, Madek, takie prawo.

— Złe to prawo, panie hrabio.

— Trzeba mu się przecież poddać dopóki nie zostanie zmienione i uprzedzam cię, że każę teraz strzelać do kłusowników.

— Nie, tego pan nie zrobi.

...Otóż pewnej nocy, kiedy buszował po lesie, dostrzegł nagle krótki blask w krzakach, rozległ się strzał i słyszał, jak dokoła niego gałęzie i liście obsypały śróty.

Ufny w swoją siłę, chciał już rzucić się na napastnika, ale na szczęście w czas się jeszcze połapał, odgadł zasadzkę, zrozumiał, że zabitoby go bezbronnego, jak psa. W trzech susach był w gąszczu, puścił się cwałem i w paru minutach znalazł się w domu.

Tym razem pogorszyła się sprawa. Gdyby znów zaczął — albo zrobionoby z niego kalekę, albo uniesiony gniewem, mógłby sam dopuścić się nieszczęścia. I wtedy nie byłoby to już zwykłe przekroczenie ustawy łowieckiej i nie skończyłoby się na kilku dniach aresztu: stanąłby jako morderca przed sądem.... Nie, to nie!

Przestał uganiać po polach i lasach, wziął się do pracy i o kłusownictwie, zdawało się, zapomniał. W tym samym czasie zakochała się w nim córka bogatego gospodarza. A że się ustatkował i wcale nie był próżniakiem, małżeństwo łatwo przyszło do skutku.

Życie jego stało się odtąd spokojne, wolne od trosk. O jego dawnych sprawkach prawie zapomniano. Podobny był do tylu innych, statecznych chłopów, którzy w niedzielę, zasiadłszy w winnicy, gawędzą o spodziewanych z pól swych dochodach, o upałach lub zbyt rzadkich deszczach. Wyrobił sobie nawet pozwolenie na polowanie, z którego zresztą prawie nie korzystał. Jednego tylko czy dwa bażanty zastrzelił na swojem polu w sezonie.

Wieczorami, po pracy przypominał sobie z przyjemnością swoje dawne czyny; czaty przy świetle księżyca, zające łapane na sidła, ptactwo pochwycone w sieci, łopocące skrzydłami....

Jeżeli jednak wspomniano o strzale w nocy, jego twarz stawała się nagle pochmurną, zaciskał pięści:

— Nikomu nic złego nie życzę, ale temu, który to zrobił!.... Przecież nikt nie ma prawa zabijać człowieka, jak królika w jamie!

Pewnego wieczora, wracając z miasta, spostrzegł człowieka wałęsającego się po polu, w pobliżu jego domostwa.

— Masz! Kłusownik — pomyślał w pierwszej chwili. I nie tyle w zamiarze przychwycenia szkodnika, co z prostej ciekawości zaczął iść w ślad za nim.

— Kto to może być?.... — mruczał przez zęby. — Piotr?.... czy szewc Jan?....

I nagle, przy świetle wynurzającego się z za chmur księżyca, mógł całą twarz jego zobaczyć.

To nie był chłop, nie był kłusownik, to był pan zamku, pan okrutnych dozorców, ten, który kazał strzelać do niego.

Stanął jak wryty, zadając sobie pytanie:

— Na jakiego djabła włóczy się tutaj o tej porze? Czy zabłądził?.... Ale nie. Dokądże on idzie? Na czterysta metrów dokoła niema żadnego domu, oprócz mego.... A więc.... do mnie?....

Naraz, zbudziło się w nim podejrzenie:

— Czy, przypadkiem nie przychodzi tu, wiedząc, że się wydaliłem.

Na czworakach, przekradając się niepostrzeżenie przez wysoką trawę, zaczołgał się pod ogrodzenie, otworzył bez hałasu furtkę i wszedł do siebie. Żona czekała na niego, szyjąc w kącie chaty.

Wśród rozmowy, zapytał z obojętną miną:

— Dawno już nie widziałaś pana hrabiego?

Zaczerwieniła się trochę.

— Nie. Nawet był tutaj niedawno.

— Po co?

— Oh! tak, przechodząc.... Wstępował także tamtej soboty, ale nic ci nie mówiłam, bo wiem, że nie bardzo go lubisz....

Machnął ręką.

— At!.... stara historya!....

Później, prostując się:

— Idę o zakład, że umizga się do ciebie! — Oh! wcale mnie to nie dziwi, jesteś najładniejszą we wsi....

Umilkł, nałożył fajkę, zapalił ją i zaczął rozmyślać. Pomimo, że zupełnie pewny był żony, dręczyła go zazdrość.

— Idziesz spać? — zapytała, przerywając przygnębiającą ciszę i składając robotę.

— Idź! Skończę tylko fajkę i przyjdę na górę.

Słyszał, jak wychodziła po schodach, później jak kręciła się po izbie, wreszcie wszystko ucichło. Podszedł do okna i podniósł storę.

Przy świetle księżyca zobaczył pod drzewem cień spotkanego przed chwilą człowieka. Uśmiechnął się w milczeniu, zdjął strzelbę ze ściany, nałożył ładunki, zarzucił broń na ramię i wyszedł.

Cień przeskoczył już ogrodzenie, ale w tej chwili pies zaczął szczekać i cień przystanął.

— Kto tam? — krzyknął Madek.

Żadnej odpowiedzi.

— Kto tam?

Pies ujadał zajadle, potrząsając łańcuchem, a cień mruczał:

— Przeklęte zwierzę!

Wyprostował się Madek, przyłożył strzelbę do ramienia, wypalił... Przeraźliwy wrzask rozległ się w powietrzu.

Ranny wił się w prochu, klnąc, jęcząc i chwytając się za żebra.

Madek w jednej chwili był przy nim; pochylił się, zdjął czapkę i rzekł, drapiąc się po głowie:

— Ah! jakże mi przykro, panie hrabio, że panu coś takiego zrobiłem. Gdybym był wiedział, że to pan.... Szczęście jeszcze, że tylko śrótem strzelbę nabiłem.... Wziąłem pana za kłusownika; odkąd się stałem poważnym, strzegę swego polowania!

I nigdy nie dowiedziano się w okolicy, dlaczego hrabia przez kilka dni utykał na nogę i dlaczego Madek przestał brwi marszczyć kiedy mówiono o dozorcy, który go chybił.

M. Level.

Smutek.

Gdy wielki smutek
Do serca się wtłoczy,
Wszędzie go widzisz
Dokąd zwrócisz oczy.

Choćbyś się schronił
Do leśnej ustroni
I tam cię znajdzie,
Za tobą pogoni.

Choćbyś przebywał
W pośród tłumów roi,
I tam spostrzeżesz,
Że przy tobie stoi.

I tak stać będzie
W serce topiąc szpony,
Aż nie upadniesz
Śmiertelnie znużony.

Jadwiga Wyrybkowska.

Z TEATRU.

Zgon miłości.
Komedya w 4 aktach przez Roberta Bracco.

Popularne dzieła sztuki dramatycznej uderzają szczególnie w struny uczuciowe widza, inne rozbudzają zmysł refleksyjny, przemawiają do intelektu, inne wreszcie odzywają się przeważnie do artystycznego temperamentu. Te ostatnie utwory, będące wykwitem wysokiej kultury i dystynkcyi duchowej i powołane do życia pod niepopularnem hasłem „sztuka dla sztuki" mogą liczyć jedynie na poklask tej małej odsetki ludzi, dla których piękno samo w sobie jest źródłem rozkoszy duchowej niezależnie od względów utylinarnych — tych rzadkich smakoszów, zdolnych do odbierania subtelnych wrażeń, do delektowania się robotą artysty i misterną jego tkaniną.

Kto bezwzględnie na osnowę „Zgonu miłości" i na rozwój akcyi nie wsłucha się w perłowy dyalog komedyi Bracca, nie zasmakuje w buduarowym sceptycyzmie, który stanowi podkład sztuki, nie potrafi spozierać na dramatis personae z pewnym pobłażliwym objektywizmem jak na maryonetki — nie wyniesie z „Zgonu miłości" najlepszej, głównej ingredyencyi, lecz pozostanie biernym, apatycznym widzem. Aby przeto ocenić właściwie płody ducha tego pokroju, trzeba koniecznie stanąć na wyżej zaznaczonem stanowisku sybaryty umysłowego, który wolny od wszelkich moralistycznych popędów, uważa życie za wielki, interesujący spektakl, a sztukę nie za zwierciadło życia, lecz raczej za welon, przez który przeświecają tylko silniejsze tony świetlane, dyskretne, przyjemne dla oka, buduarowe.

Wobec tego treść „Zgonu miłości" jest rzeczą podrzędnego znaczenia; będąc niejako jedynie instrumentem, na którym autor wygrywa swe fiorytury dyalektyczne, a osoby, nie budzące ani naszej sympatyi ani antypatyi, są porcelanowemi figurkami. Wszystko w werystycznej komedyi jest zgodne z prawdą życiową i z psychologią, ale nie jest czystem odzwierciadleniem rzeczywistości, podczas gdy w realistycznej sztuce winno być prawdziwem odbiciem życia. I w tem polega różnica pomiędzy t. zw. weryzmem a realizmem. Absolutna prawda życiowa odstręcza w swej brutalności i powadze pewną rzeszę literatów nowoczesnych, którzy uciekają od prozy w egzotyczny swój światek, wnosząc do niego z ulicy poczucie psychologicznej prawdy i swój wielki bagaż artyzmu. Według pojęć o sztuce Tołstoja komedyę Bracca należałoby ukamienować, natomiast w imie zasad t. zw. estetów wyznaczyć jej trzeba przednie miejsce w plejadzie nowszych utworów dramatycznych.

Błyskotliwa swada autora, sceptycyzmem zabarwiona jest w naszej literaturze prawie nieznaną i nie należy do cech charakterystycznych polskich modernistów. Wywodzi ona swój ród z Francyi, z epoki trzech ostatnich Ludwików, epoki Voltaire'a, Chamforta i galanteryi salonowej, która przejawiła się w całej ówczesnej literaturze zarówno francuzkiej jak angielskiej, a dzisiaj znalazła świetnych swych przedstawicieli w głośnej autorce Gyp, w komedyach Irlandczyka Oskara Wilde'go, ojca estetów, w grupie wiedeńskich dramatopisarzy z Schnitzlerem na czele oraz werystów włoskich. Kto pod mikroskopem moralizatora badałby przeróżne wygłaszane zdania, począłby zaraz nucić minorowym głosem na temat zaniku pojęć etycznych, rozpasania instynktów, egotyzmu itd. natomiast nie biorąc rzeczy bardzo na seryo, uśmiechamy się wobec ciętych, subtelnie pochwyconych uwag margrabiny Anny di Fontanarosa.

„Wiarołomstwo przeżyło się" twierdzi margrabia, a więc Bracco w myśl słów jego nie tworzy sztuk opartych na wiarołomstwie jak młody Dumas i do niedawna mnóstwo autorów francuzkich, lecz przedstawia tak w „Niewiernej" jak w „Zgonie miłości" kobiety, które pozostają wiernemi małżonkami — z braku odpowiednich kandydatów na kochanka. Co się tyczy margrabiny doktor Salveti ma słuszność, mówiąc, że „kobietę zdobędzie każdy.. który umie należycie prosić." Lecz w pałacu margrabiny nikt tego nie umie, najwięcej do pojęcia mężczyzny zbliża się w mniemaniu bohaterki sam jej mąż, który też pozostaje jeżeli nie panem jej serca, to panem sytuacyi. Miłość Anny do niego tliła się w jej sercu przez dwa lata, które wesoły małżonek spędzał na jakichś gonitwach po świecie i byłaby rozpaliła się silniejszym ogniem, gdyby Artur nie był wrócił podstarzałym i nie okazywał się oschłego serca dżentelmanem, nie odstręczał jej powoływaniem się na swe prawa mężowskie. Uczucie jej gaśnie, na grób jego pada kilka łez i wnet znowu rozbrzmiewa śmiech Anny. „Zgon" ten nie jest dramatycznym, bo postacie przykrojone na miarę przeciętnych, wykwintnych salonowców w żadnych okolicznościach życia nie wyszły-by po za ramy figur z komedyi. Widzowi zatem jest całkiem obojętnem czy owa miłość umarła czy nie, tem więcej, że gdyby nie była skonała, nie byłoby się zmieniło w pożyciu Anny z mężem bodaj nic ani na jotę.

„Zgon miłości" zestawiony z „Niewierną" traci dużo przez porównanie, wątek sztuki bowiem nader słaby, akt czwarty przywieszony do komedyi zdaje się niemal niezbędnym i sam temat sztuki jest nieinteresującym.

Niepodobno oczekiwać, aby aktorzy nasi sharmonizowali swą grę i wytworzyli iście salonową atmosferę w scenach zbiorowych. Stała temu na przeszkodzie nie dość wysubtelizowana dykcya, oraz skarykaturyzowanie hrabiego Dionigi i Albani, których oddali p. p. Prochaska i Poleński. Wskutek przesady w grze hrabiego nie podobno było dać wiarę temu, aby margrabina mogła nim zająć się chociażby przelotnie, zwłaszcza że nic nie przygotowało nas na to w poprzednich aktach. P. Dobrzański przesadził w dykcyi, natomiast w ruchach był doskonałym. P. Wiślański, pominąwszy to, że nie wiedział co począć z rękami, oddał dobrze idealnego młodzieńca. Pan Sowiński, jako stary sługa zasłużył na uznanie. Doktora Salvetti'ego stworzył p. Stradiot, cedząc z rozmysłem naszpilkowane satyrą słówka, jak tego wymaga sztuka. Starannej grze jego możnaby tylko zarzucić, że nie zamarkował on swych uczuć do margrabiny, a uderzony spicrótą, pocierał ramię tak, jakby robił to w płaskiej komedyi.

Główne role spoczywały w rękach panny Podgórskiej i pana Andruszewskiego. Rola margrabiny, kryjącej słabe zarzewie idealnych pragnień pod grubą warstwą światowych naleciałości, nie leży wprawdzie w zakresie talentu panny Podgórskiej, lecz mimo to dała nam ona wogóle poprawną wersyą Anny, chociaż niekiedy było znać sztuczne naginanie się do roli, nieodpowiadającej jej temperamentowi artystycznemu i dawała zbyt szybkie odpowiedzi. Milszą jest nam panna P. w rolach trzymanych w poważnym tonie. Pan Andruszewski posiada w wysokim stopniu warunki na margrabiego di Fontanarosa, jednakże miał niewdzięczne zadanie, gdyż postać to bezbarwna i blada. Pan Andruszewski odegrał ją zdawkowo. Winien był zainteresować się żywiej relacyami służącego, gronem dworusów, następnie, usłany na fotelach, stoczyć z sobą krótką walkę i w całej sztuce — w szczególności zaś wobec żony, nie pozbawionej dlań ponęty — zachowywać się z temperamentem Włocha.

Roman Rola.

Z cyklu „Morze."

Do Brazylii.

Słońce się z za chmur brzemiennych wyłania,
Promienie jego blask na wodę kładą,
Okręt przepływa z podróżnych gromadą,
Przepływa z gronem włościan z pod Poznania.

Wśród ciszy morskiej hymn chwałę wydzwania,
Śpiewają chórem „Kiedy ranne zorze"
I wzrokiem smętnym patrzą się na morze,
Słychać westchnienia, skargi i szlochania.

Słońce już wzeszło; w promieniach skąpana,
W zieleni lasów dziewiczych spowita,
Brazylia łonem swym wędrowców wita,
Oni się dziwią, wielbiąc hymnem Pana.

Zaprawni w walce z przeróżną hołotą,
Ufni, że idą po perły i złoto,
Dążą z piłami przez leśną gęstwinę

I odnajdują w dalekiej Paranie
Śpiew swojski, miły, na przenicznym łanie,
Braci, osiadłych tu dawniej — gościnę.

* * *

Gwiazda morza.

Żeglarze, płynąc przez wodne bezdroża,
Kiedy się burza z rykiem strasznym zbliża,
Czynią na piersiach pobożny znak Krzyża
I szepczą: „Wspieraj nas o Gwiazdo morza!"

Wtedy z chmur nieba patrzy Matka Boża,
Zwracając pełne jasności spojrzenie
I, nakazawszy żywiołom milczenie,
Ciszę sprowadza na wodne przestworza.

Wraz oniemiała pada fala sina,
I trwożnie piany białe wdal unosi,
Matka Prześwięta zwraca się do Syna,
O łaskę, pomoc dla ginących prosi.

W niebo pieśń biegnie, pieśń z morskiego łona
„Matko Przeczysta, bądź błogosławiona,
„Ludzie o łaskę proszą Cię w pokorze,

„Do Ciebie wznoszą głos wszyscy strapieni,
„Dla Ciebie kartę losów Bóg odmieni,
„Ogień zagasi i uciszy morze!"

Władysław Karoli.

KRONIKA.

Dziś, dziś! Ojda! Ojda! mazur mazur! Świr, świr w koleczko, oberek — słowem karnawał.

Salony prywatne zaczynają się ożywiać. Już słyszałem takie holubce, że podłoga trzeszczała, już widziałem taki wir taneczny, że piece po kątach zaczęły się słaniać w takt mazurowych posuwistych skoków.

Dziwny to czar ma ten karnawał. Nie mówię już o młodzieży, bo dla niej nie wiele potrzeba, aby ją rozruszać, lecz w karnawale nawet w filistrze rozgrzeje się stężała krew i on głowę podnosi i chwyta nozdrzami to coś, co jest w karnawałowem powietrzu. Upojenie jakieś, lekkomyślność, chęć nieprzeparta do wybryków i wybryczków.

Są to początki karnawału — więc też dopiero w prywatnych salonach odbywają się domowe zabawy, ale niebawem i publiczne będą.

Co roku nieomal od niepamiętnego szeregu lat dyskutowanem jest pytanie, czy wolno się *nam* bawić?

„*Nam*" — podkreślam. Niemcom, Francuzom, Włochom i wszystkim innym nacyom bawić się wolno, ponieważ ich położenie odmienne od naszego, lecz nam zgnębionym stosunkami politycznemi, prześladowanym w ostatnich latach klęskami żywiołowemi, czy bawić się wolno?

Co roku roztrząsa się to zagadnienie w czasie karnawałowym. Pisze się na ten temat bardzo dużo zazwyczaj przeciw zabawom — a jednak się bawimy.

Czy to lekkomyślność, czy też siła żywotna — czy zasób nieosłabionego żadnemi nieszczęściami pociągu do płochości?

Wydaje mi się, że do chęci karnawałowania przyczyniają się wszystkie wyżej wymienione czynniki. Lecz są to wszystko frazesy. Nie rozstrzygnąłem dotąd pytania, czy godzi się nam bawić?

Odpowiem na to tak: gdybyśmy byli wszyscy Katonami, wyrzeklibyśmy się zabaw, ale że my jesteśmy wszystkiem innem tylko nie Katonami, więc zabaw się nie wyrzekamy. W gruncie rzeczy zapytać się trzeba, czy dobrze byłoby wyrzekać się wszelkiej wesołości?

Czy to pogrążenie się nieprzerwane w serjalnościach życiowych nie sprowadziłoby na nas zgubnej zadumy i rozpaczy?

Czasami dobrze jest oderwać się od powszedniej troski, wyrwać ducha ze zgubnej, osłabiającej melancholii, rozweselić się w dobranem gronie — ale wszystko ma być w miarę.

To też nie występuję nigdy przeciwko zabawom, lecz występuję przeciwko nadmiarowi zabaw, przeciwko rujnującym zbytkom.

A czy takich zbytków nie widzimy?

Proszę tylko wejść na salę Bazaru w czasie balów karnawałowych, proszę przyjrzeć się toaletom!

Czy wszystkie te toalety zastósowane są do ciężkich czasów?

Pod jednym względem odpowiadają one może ciężkim czasom, albowiem dosyć skąpo użyto materyi na toaletę — ale skąpość w materyi toalety, nie odnosi się do jej jakości, ani do wystroju.

Dalej zapytaćby się także trzeba naszych dam, gdzie robione te toalety — niektóre są arcydziełami mody i smaku — zkąd owe arcydzieła sprowadzone?

W wielu niestety razach usłyszymy odpowiedź z Wiednia, z Paryża, a co najgorzej z Berlina.

Już to grzechem nie do darowania, że nasze modne damy wywożą nasz pieniądz za granicę — sprowadzając toalety z Paryża i Wiednia — a już najwięcej grzeszą te kobiety Polki, które wysyłają pieniądze do niemieckich zakładów w Berlinie.

„Polnische Gräfin" jest wprawdzie i dziś w wielkiem poszanowaniu u kupców berlińskich, ale ten szacunek zależy od miary danego zysku.

Niemiec w oczy grzeczny, w duszy się wyśmiewa, że wielka polska dama chwyta się na lep jego nizkich ukłonów i płaskich komplimentów.

W tych czasach jest po prostu grzechem narodowym wzbogacać naszym groszem tych, którzy czyhają na naszą zgubę.

Czyż to w Poznaniu nie ma dosyć magazynów mód *polskich*, wykonujących wszystkie zlecenia znakomicie, zadowalających najwybredniejsze gusta. Niechaj nasze damy przeznaczą taką sumę, jaką wydadzą na suknią sprowadzoną z zagranicy, a z pewnością i tutejsze magazyny toaletę wykonają odpowiednio do ostatniego „szyku" mody.

Lecz zazwyczaj tak bywa, że na sprowadzoną z zagranicy toaletę wyrzuca się lekko setki, czasem więcej niż setki, a gdy ma być zrobioną w Poznaniu wtedy targujemy się o każdą złotówkę. Bo to tylko *nasz* magazyn, bo tą tylko *poznańska* robota.

Nie chcę ukrócać panowania Jego królewskiej mości Karnawału, lecz niech z jego wesołego panowania mają zyski wyłącznie *polskie* przedsiębiorstwa!

Alfa.

Tarcza świetlana.

Gdy kiedy Ci oczy napotkać się zdarzy
Z połyskiem niezwykłym, siejące skier kro-
[cie —
Co niby szmaragdy zielenią się w złocie
Jak błędne ogniki migocząc na twarzy —
To ani na chwilę
W ich nie wierz wesele;
Blask taki — jak ziele
Na grobach się ściele —
Na szczęścia zakwita mogile...

A chociaż usłyszysz śmiech — niby ochoczy,
To nie daj się złudzeń oślepić powodzi;

Pamiętaj, że z różnych śmiech źródeł się [rodzi...
Niekiedy go przymus rozlewa przez oczy..
Niekiedy jak tarcza
Mgła śmiechu osłania
Westchnienia i łkania....
Niekiedy — wytrwania
I męstwa ginącym dostarcza....

Gdy cierpi duch hardy — to z dumą szatana,
Widokiem męczarni swych bliźnich nie bawi;
Choć piersi żal targa, choć serce się krwawi,
W źrenicach drży śmiechu kaskada świet- [lana...
Zasnuwszy łez fale
Migocze blask złoty
Jak żywe klejnoty..
Skry z oczu — jak groty
Błyszczące padają zuchwale...

Marya Remiszewska.

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo ***„PRACY."***

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 17 bm., daną będzie jako premiera oryginalna sztuka polska, mianowicie bardzo wesoła i pełna dowcipów komedja Jordana p. t. „Myszy bez kota“.

W niedzielę, dnia 18 bm. po południu o godzinie 3, po cenach do połowy zniżonych znakomita i niesłychanie zabawna komedya kontuszowa Fredry p. t. „Gwałtu, co się dzieje!“, a wieczorem po raz drugi „Myszy bez kota.“

Ze względu na powyższy repertuar pięknych i zajmujących komedyi oryginalnie polskich widownia teatru, świecąca niestety zbyt często przerażającemi pustkami, powinna być tak w sobotę jak też w niedzielę zapełniona po brzegi.

— **Rodak** na obczyźnie pragnie powrócić do kraju i założyć fabrykę wody selterskiej oraz limonady.

Za pośrednictwem naszem prosi Szanownych Czytelników o wskazanie takiej miejscowości w W. Ks. Poznańskiem lub też w Prusach Zachodnich, w którejby mógł z korzyścią założyć wzmiankowany interes. Informacye prosimy nadesłać do redakcyi „Pracy“.

— **Na biuro obrony prawnej** otrzymaliśmy w dalszym ciągu od p. W. Ziarniaka, kupca z Strzałkowa, 2 mrk. z następującym dopiskiem:

„Pomimo iż z pewnością spóźniłem się celem dorzucenia cegiełki do utworzenia biura obrony prawnej, w każdym razie ze wszystkiem zapóźno nie będzie. Dlatego gdy biuro obrony prawnej będzie utworzone, obowięzuję się płacić wyznaczoną składkę i być wpisany jako członek.“

Dalsze datki na ten cel przyjmujemy jak najchętniej.

— † **Z miasta.** W Mikorzynie umarł dnia 7 bm. tamtejszy długoletni proboszcz ks. Weiss, który wśród starszych obywateli poznańskich był znany. Nieboszczyk był z rzeczywistego powołania i poświęcenia księdzem, gdyż jego rodzice byli ewangelikami, a on wiedziony popędem duszy, utwierdził się w wierze katolickiej tak, że został kapłanem, ale przytem gorącym patryotą polskim. Był on też słynnym kaznodzieją i porywał słuchaczy swemi kazaniami. W starszem pokoleniu poznańskiem pamiętne są jego mowy patryotyczne, wygłaszane w tutejszych świątyniach podczas powstania w r. 1863. Za jedno z takich kazań nawet dostał się do więzienia pruskiego. Z Poznania przeniesiono go, o ile nam wiadomo, do Śremu. Od dawnych lat był proboszczem w Mikorzynie, gdzie to znajduje się cudowna figura św. Idziego, dokąd swego czasu liczne pielgrzymki pospieszały. Tam działał przez długie lata jako duszpasterz i obywatel. Cześć pamięci takiego kapłana i patryoty! R. i. p.

— **Lubcz** pod Rogowem. Na odbudowanie spalonego w Lubczu kościoła złożyli w dalszym ciągu: X. prob. Jaensch z Grodziszczka 5 mk., panie Malinowskie z Poznania 20 m., p. M. Wojczyńska z Poznania 5 m., p. St. Szczepanowska z Lubcza 20 m., p. Grajewski z Śremu od siebie, murarzy i cieśli zebrane 29 m., N. N. z Śremu 1 m., A. Krajkowska z Witkowa 1 m., X. prob. Szubert z Dębnicy 5 mk., Antoni Dominiczak z Ochodzy 3 m., X. prob. Ussorowski od pewnej osoby z Gniezna 1,25 m., Wanda Pech z Gniezna 1,50 m., Marya Budner z Frankfurtu n. M. 3 mk. Józef Pokorski z Kamieńca 2,85 mk., X. prob. Olejnik z Juncewa 150 m., Jan Pluciński z Gniezna 3 m., p. Antonina Jankowska z Drezna 5 m., Walenty Maryański z Kamieńca 2,90 m., Wincenty Rybarczyk z Kamieńca 3,90 m., X. prob. Walczak z Gorzyc II. składkę 3 mk.

Łaskawym ofiarodawcom stokrotne „Bóg zapłać“ składając, proszę uprzejmie, gdy serce wyższą potęgą wzruszone, odczuje dobrego uczynku spełnienia potrzebę, pomyśleć o biednym, spalonym Lubczu. Prócz kilkunastu wspaniałomyślnych kapłanów, sam prawie stan robotniczy i nieco mieszczan pospieszyło nam z pomocą — ale z pomiędzy wielkich, grubą fortuną rozporządzających magnatów, prawie nikt nie raczył zlitować się nad małą wioszczyną i dopomódz biednemu ludowi do odbudowania domu Bożego. A jednak, jeżeli gdzie, to tu, choć może bez światowego rozgłosu — ofiara znalazłaby słuszne zastósowanie i padłaby na rolę wdzięczną, stokrotny dającą owoc. Najprzewielebniejszy ksiądz Arcypasterz, udzielając nam łaskawie Swego zezwolenia do zbierania składek, uznał wielką potrzebę powszechnej pomocy dla Lubcza i pociesza nas, że znana ofiarność Archidyecezyan pospieszy nam z upragnioną pomocą.

X. Czerwiński,
Lubcz p. Rogowo.

— **Kościerzyna**, Prusy Zach. — Potrzebny w mieście naszem *mistrz kominiarski* i to *zaraz*. Zabezpiecza mu się ze strony polskiej pewną egzystencyą, gdyż tak miasto nasze jako i okolica wynosi blisko 2/3-cie Polaków względnie posiedzicieli domów.

Bliższych informacyi w tej sprawie chętnie udzieli kupiec p. Klemens Lniski — Kościerzyna — Berent W. P. Rynek Nr. 1. Markt 1. — Ze względu na to, że sprawa ta dla nas bardzo jest ważna, uprasza się wszelkie nam przychylne pisma polskie o powtórzenie powyższej korespondencyi.

Jeden za wielu.

— **Kupno.** Majętność Antonin w powiecie poznańskim wschodnim kupił od budowniczego p. H. Schenka budowniczy p. Komendziński za 102,000 m.

Zmarli.

† **S. p. Nepomucena z Jasińskich Rawicz Dembińska** dnia 6 bm. w 83 roku życia w Węgiercach pod Przyjezierzem.

† **S. p. Stanisław Fischbach** dnia 5-go bm w 72 roku życia w Poznaniu.

† **S. p Walenty Klarowski**, radzca, dnia 3 bm. w 82 roku życia w Poznaniu.

† **S. p. ks Józef Hillar**, dawniejszy długoletni proboszcz w Sampławie, w Prusach Zachodnich, w 76 roku życia a 48 roku kapłaństwa, dnia 2 bm.

† **S. p Stanisława z Wierszewskich Dzierzanowska** dnia 6 bm. w Skokach.

† **S. p. Kazimierz Garczyński** dnia 12 bm. w Załachowie.

† **S. p. Teofila Gerstner** dnia 10 bm. w Poznaniu, przeżywszy lat 75.

† **S. p. Stefan Sobeski** z Poznania, znany i szanowany obywatel, były właściciel cukierni w Bazarze, dnia 12 b. m., przeżywszy lat 64.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Drezno.** Tutejsze Koło śpiewackie urządza w niedzielę 18-go stycznia na sali hotelu „Zur Herzogin Garten“ Ostraallee Nr. 15 b. pierwszy w tym roku koncert i bal, na które Szanownych Rodaków usilnie zapraszamy. Początek o godzinie 7.

Zarząd.

— **Wiedeń.** Pod protektoratem J. O. Księżnej Adamowej Lubomirskiej urządza Polska Sokolica akademicka we Wiedniu w sali Towarzystwa kupieckiego (Kaufmännischer Verein) we Wiedniu I. Johannesgasse 4 w niedzielę dnia 25. stycznia 1903 r. wieczorek muzykalno-wokalny na cześć 25-tej rocznicy wstąpienia na stolicę apostolską Ojca św. Leona XIII. Dochód przeznaczony dla biednych pod opieką bractwa św. Wincentego à Paulo. Bilety po cenie K. 6, 4, 3, 2, 1,50, 1 nabyć można przedtem w lokalu Sodalicyi przy kościele polskim, III. Rennweg 5 a, w dzień wieczorku przy kasie.

Komitet:
Ks. Jan Mikołajewski C. R. moderator.
Stanisław Wieniawa-Torosiewicz, prefekt.
Maryan Henzel, asystent.
Rafał Cywiński. Józef Targowski.

OD REDAKCYI.

Panu 1. W. w Gnieźnie. — Notatki nie zamieściliśmy, ponieważ nie otrzymaliśmy odośnej kompozycyi do recenzyi.

Panu M. C. w Sumnie, Prusy Zach. — Jest to reklama, czyli polecenie studniarza L., zatem tylko w dziale ogłoszeń może być zamieszczone. Zredaguj Pan odpowiedni inserat, przyślij go naszej Administracyi, a my chętnie nań zwrócimy uwagę w części redakcyjnej.

Kosynier. — Przesełamy serdeczne życzenia Nowego Roku. — Bardzo słuszne Pańskie uwagi o Kole polskiem!

Przezornej matce. — Dla dziewczynki w tym wieku trylogia Sienkiewicza jest rzeczą zbyt poważną.

Panu Władysławowi H. w Ś. — Życzeniu Szanownego Pana pomimo najszczerszej chęci zadość uczynić nie możemy.

Prowincyonaliście. — Dotąd jeszcze nic stanowczego nie ma.

Ciekawej. — Wyznania katolickiego.

Pani S. K. w P. — Nie wiemy.

Panu L. P. w K. — Leczeniem tego zboczenia zajmują się lekarze specyaliści.

Pięknej Czytelniczce. — Na kosmetykach się nie znamy, objaśnić więc nie możemy. Na zachowanie świeżości cery wielki wpływ ma spokojny, hygieniczny tryb życia i częste użycie zimnej wody, lecz nie kosmetyki, których szkodliwość od dawna już stwierdzono. Zimna woda zwyczajna i zwyczajne mydło, to najlepszy i nigdy niezawodzący środek dla płci pięknej.

Panu A. D. w M. — Dlaczegóżby nie?

Nr. 3. PRACA Rok VII.

Dodatek Powieściowy.

Turcy w Górnym Szląsku.

Powieść prawdziwa z drugiej połowy XVIII wieku.

3) Napisał *Józef Lompa.*

(Ciąg dalszy).

„Za każdem słowem podnosił się dobitniej głos upominającego kapłana i skruszał serca żalem pogrążonych słuchających zbrodniarzy. Skończywszy swoją przemowę, widziano świętobliwego męża, jak gdyby się oblicze jego w jasności przemieniły, a gdy się oddalił, zdało się wszystkim, jak gdyby nadziemską istotę przed sobą byli mieli. Wszystkie okropne następstwa zgroźnego uczynku wystawiały się każdemu żywo przed oczy. Nie wydzierał się żaden głos z piersi ściśnionych, i z nachyloną głową, wzrokiem ku ziemi spuszczonym, szedł każdy do swego domu. — Potem zabrał się ojciec Jacek i już go tam nigdy więcej nikt nie widział. Przechodził on dalekie obce kraje, i nawet nad brzegami Czarnego morza ewangelią świętą opowiadał, a powróciwszy do Krakowa, tam żywot swój świętobliwy zakończył. Tenże kapłan Jacek miał to być ten sam, który po śmierci swej w poczet świętych Pańskich policzony został, i był rodem ze Slązka, z familii sławnej Odrowążów, ze wsi Wielkiego Kamienia niedaleko Wielkich Strzelec.

„Kapelan Mikołaj umarł trzeciego dnia na rany swoje w Rozbarku. Tak długo bawił też tam klecha czyli zakrystyan kościoła farnego, Bernard Wyrwicki, poczem sobie postanowił odbyć pielgrzymkę do Rzymu i oznajmić Ojcu świętemu, co się w Bytomiu stało. Co sobie zamierzył, to też i wykonał.

Obawa gniewu Boskiego ciężała teraz jako czarna chmura nawalnicą albo zerwaniem obłoku grożąca, nad całem miastem. Wkrótce też rozpostarły się utrapienia wszelkiego rodzaju nad Bytomiem. Dręczeni gorzkiemi wyrzutami sumienia, przedsięwzięli sobie czterej radzcy, a pomiędzy nimi i syndyk miejski Wojtacha, osobiście do Rzymu pielgrzymować, ażeby tam rozgrzeszenia od winy ubłagać i dostąpić. Atoli oni tam nad spodziewanie swoje, na dożywotne więzienie skazani zostali, i już nigdy więcej rodzimego miasta swego nie oglądali. Promień klątwy zatwierdzonej przez papieża, raził ciężko miasto. Utraciło ono niektóre przywileje, a pomiędzy temi i kollaturę farnego kościoła. Zamknięto wszystkie kościoły i mieszczanie wzdychali nadaremnie, równie z dziećmi i wnukami swojemi, pragnąc tęskliwie i gorąco błogich pociech chrześciańskich.

Przez cały czas klątwy nie mieli Bytomianie w swych kościołach żadnego nabożeństwa, i musieli sobie sami dzieci swoje chrzcić; nie wolno było nikomu za granice gruntów miejskich wychodzić, ani żaden obcy nie śmiał do miasta przychodzić. Miasto doznało wielkiego upadku, wszelki jego przemysł stanął, jakby był paraliżem rażony. Zaledwie kilka tygodni przeminęło po owych nieszczęścia pełnych dniach, otworzyły się ujścia podziemnych wód, i na próżno zostawały wszelkie usiłowania, ażeby im zaradzić. Wydawało się, jak gdyby się wszelkie żywioły sprzymierzyły, by nieszczęście miasta pomnożyć. Okropny pożar ogniowy spustoszył Bytom jeszcze w tym samym roku, i w nim zgorzał burmistrz Jędrzej Fabrycy żywo w swoim własnym domu. Mało co pozostałych zwłok jego pochowano przede drzwiami klasztoru Minorytów. Proboszcza Anzelma dosięgła także kara Boska. Znajdował się on wtedy w częściej mianowanym podziemnym ganku, ale się już nigdy potem nie pokazał. Według dorozumiewania się, był to jego kościotrup, który przy kopaniu gruntów po czterech stach lat, z latarnią rogową znaleziono.

Za przyczyną opata Wincentynów w Wrocławiu, zniósł na koniec Ojciec św. w Rzymie klątwę po 70 latach smutnej niedoli i narzekania. Kościół farny został z kolaturą Wincentynom oddany. Na pamiątkę zamordowanych księży dnia 14 września r. 1363, widzieć można dotąd nad głównemi drzwiami farnego kościoła, nad bramami miasta, dwa z kamienia wyciosane kielichy, które ono zdarzenie przypominają.

Na to odezwał się karczmarz z Kamienia: „Byłoby do białego dnia o tych dawnych czasach co gwarzyć. Ach, jakie też to dziwne zmiany na świecie zachodzą! Gdy się w Bytomiu kruszce srebrne straciły, nie było jeszcze wtedy słychać o Tarnowskich górach. W późnych czasach dopiero, gdy wół na roli gospodarza, nazwiskiem Rybka, z wsi Starych Tarnowic, sztukę litego srebrnego kruszcu rogiem wykopał, dało to właśnie pohop i ponętę do szukania kruszców i powoli do założenia nowego górniczego miasta.

Następującego dnia odbył się obfity połów ryb, podczas którego na grobli i w młynie ryby warzono i smażono. Na wieczór gdy staw przystawiono i straż około niego narządzono, żeby chłopstwo napuszczonych weń dla zarybienia największych karpi i linów nie wybrało; zaproszeni przyjaciele zgromadzili się do gospodarza i zaś sobie w późną noc gwarzyli.

Młynarz z Brzozowic prawił: „Zaczem tak od dawna około Bytomia kruszce śrebne znikły, życzyłbym sobie tylko posiadać te skarby w monetach, jakie mają być w Górnym Slązku w różnych miejscach i zamkach pod ziemią ukryte i przez złych duchów strzeżone. Już się też tu i owdzie ludzie o to kusili, jakoby się do tych podziemnych skarbów dostać mogli; ale z przyczyny, że każdą razą ze sobą jakiej świętości, lub jakowego niezbędnie potrzebnego przedmiotu zabrać zapomniano, nie chciały się nijak pokazać; przyczem się duchy szyderczo naśmiewały. A starzy ludzie powiadają też o niektórych górach i to, że pod

niemi są wojska pochowane. Tak pod Smoczą górą między wsią Kamieniem a Bytomiem, ma spoczywać wojsko św. Jadwigi, i kiedy ten czas nastanie, że tam czterech potentatów przeciw sobie walczyć będzie, wtedy wystąpi owo śpiące wojsko, i ono orężem swoim bój zakończy, poczem na świecie ma wieczny pokój panować.‘‘

Na to odezwał się organista z Czeladzi: „Ale wiecie też moi ludkowie, że te podania o zaklętych skarbach w rozwalinach starych zamków mogą być i prawdą? Jako kroniki opisują, za dawnych czasów, kiedy rycerstwo nie miało sposobności na wojnach zbogacać się zdobyczami, osiadło po zamkach warownych na górach i niedostępnych miejscach wystawionych, z których zbrojnie wypadało, łupiło kupców po drogach, rabowało w miastach i wsiach, i gromadziło bogactwa w swoich grodach. Z innych krajów przyszła ta plaga też i do naszego Slązka.‘‘

Młynarz z Przełajki przerwał opowiadanie temi słowy: „A czyli to takim zuchwalcom ze strony władzy krajowej żadnej rady nie było?‘‘

„O gdzie tam,‘‘ odpowiedział opowiadacz. „Tacy rycerze uważali według owoczesnego pojęcia i zwyczaju, rozboje za godziwe rzemiosło i nie mieli sobie tego za żadną zgrozę albo hańbę. Szło bowiem u nich tylko o to: kto silniejszy, ten najlepszy! Potentaci wtedy byli w władzy swej tak słabi, że rozbójników porazić nie zdołali, lubo na nich często, jak na dzikie zwierze obławy czynić nakazywali. W naszej stronie mieli ci zbójcy takie gniazdo w Gorzowie i Ciecierzynie, zkąd wypadając łupili nietylko ślązkie włości, ale szczególniej Wielkopolskę, a ci byli do tego stopnia wprawni i śmieli, że nawet miastom przybycie swoje zapowiadali. W Walczynie miał dawniej jeden rozbójnik imieniem Jan Jalec tak mocną twierdzę, że gdy go na koniec Wrocławianie za pomocą Konrada białego, księcia Oleśnickiego, zwyciężyli i pojmanego do Wrocławia zaprowadzili, rozburzając jego gniazdo zbójeckie, jeden mularz zaledwie tyle muru przez cały dzień rozkopał, że rumowisko wieczorem w swoim szuszfale z miejsca odnieść potrafił. Takim przytułkiem rozbójników był też zamek Swierkliński na nieprzebytych trzęsawiskach wystawiony, do którego nikomu przystęp nie był wiadomy; lecz gdy ci łupieżnicy razu jednego pewną dziewczynę porwali, a ta mając groch w kieszeni, potrząsała go za sobą, wskazała tym sposobem ścieżkę przez manowce prowadzącą; zaczem dostano się do utajonego zamku i pojmano drapieżnych ptaszków, a zamek Swierkliński od onego zdarzenia zwano Znajdek czyli Najdek. O wiele to jeszcze innych takich zamków było w naszym Slązku i w innych krajach niemieckich; wszakże to w owym czasie nawet i książęta Oświęcimscy jawnie rozbojem się trudnili.

Od południowej strony górnego Slązka rozbijali też dwaj bracia, zwani Juraszek i Pietraszek mianowicie w okolicy Bełku, w powiecie Rybnickim, i mieli swe siedlisko w miejscu tamtejszej kaplicy. Cesarz chciał obydwóch ułaskawić i wszelkie przewinienia im przepuścić, gdyby samowolnie łotrostwa zaniechali. Gdy tego nie uczynili, zabił Juraszek brata swego w Boguminie. Schwytany zbójca na gorącej sprawie, mający być w Raciborzu gardłem ukarany, zeznał: że w lasach Raciborskich nad Odrą przy wsi Brzezie dwa dęby stały, jeden białym, drugi żółtym drutem opasany. Polecił zarazem: jeżeliby skarby w tych dębach zachowane znaleziono, ażeby za nie dwa kościoły wystawiono. Słysząc to czeladnik kowalski, nazwiskiem Pasek, po straceniu Juraszka szukał dębów, znalazł tylko ten, co był białym drutem opasany, i wystawił za pieniądze w nich zachowane, w Raciborzu kościół polskim zwany, do gotyckiej budowli farnego przytykający.

Organista z Kamienia prawił na to: „Słyszałem ja też opowiadanie o górze Grojeckiej na granicy polskiej. Na tej górze żyło dwóch rycerzy braci. Byli to wierutni rozbójnicy, którzy przejeżdżających kupców krakowskich i wrocławskich łupili, a nawet miasteczka i wsi napadali. Nagrabiwszy mnogo grabieży, pokłócili się względem podziału tejże. Ażeby sprawę sporną pomiędzy sobą sami rozstrzygnęli, wyzwali się na pojedynek, i stanęli na pagórku, gdzie teraz wieś Wielki Żyglin. Tu położył jeden drugiego trupem. Ale! krew to nie woda. Zwycięzyciel, ten co innych bez litości mordował, widząc płynącą krew konającego brata swego, nie będąc tak zatwardziałego umysłu jak pierwszy bratobójca Kain, zmienił swój umysł. Grzebając zabitego brata na tem miejscu, wystawił na jego grobie drewniany kościołek, i uposażył go potrzebnym funduszem. Sam zaś porzuciwszy dotychczasowe swoje rzemiosło, postanowił sobie, wystawić na Grojcu także kościół, i dla siebie pustelnię, w którejby za grzechy swoje w modlitwie i dobrych uczynkach odpokutował i sprawiedliwości Bozkiej zadosyć uczynił. Prowadził on w długim szeregu lat przykładne i nader pobożne życie. Książę ciemności czyhający ustawicznie jako lew ryczący na zgubę człowieka, nie mogąc żadnym sposobem pokutującego rycerza na bezdroża i do upadku skusić, umyślił zburzyć jego pustelnię i kościołek murowany. Leciał on w powietrzu z pomocnikami swoimi piekielnymi nocnym czasem ku Grojcu. Czarni nieśli na zamierzone zburzenie ogromne kamienie, a oto! gdy pomiędzy Bylkowem i Michałkowicami byli, zapiał kur pierwszy raz po północy, a oni dalszej mocy nie mając, musieli kamienie porzucić i na przepaści uciekać; zaczem kamienie rozmaitej postaci, tam jeszcze po dziś dzień widzieć możecie.‘‘

Jeden z myśliwców tam koczujących przemówił: „Ej! nie byłbym sobie nigdy pomyślał, że to dawniej tacy bezecni i złośliwi ludzie byli, co się chrześcianami nazywali.‘‘

Na to odrzekł organista z Kamienia: „Kiedym się w szkołach w klasztorze Rudzkim uczył, powiadał nam często ksiądz profesor, że dobrych ludzi jest na świecie zawsze więcej aniżeli złych, i wystawiał nam liczne przykłady, i zwykle kończył na tem: że przodkowie nasi mierne i trzeźwe prowadząc życie, dochodzili bardzo późnej starości. Mimo tego, jeżeli łotrów nie brakowało, ztąd to właśnie pochodziło, że lud miał za mało oświaty. Były wtedy surowe obyczaje, ale też i za zbrodnie bardzo surowe kary, osobliwie w księstwie Siewierskiem, do biskupów krakowskich należącem, zkąd też pospolite przysłowie powstało: „kradnij! zbijaj! Siewierz, Koziegłowy mijaj!‘‘ — powiadano bowiem: że tam kradzież za jednę główkę kapusty szubienicą karano.‘‘

Że się przybycie tureckich gości, od kilku dni zapowiedziane, na granicy tak długo zwlóczyło, zaiste przyczyna tego od złych dróg pochodziła. Nie słyszał wtedy jeszcze nikt u nas o szosach, czyli żwirowych drogach. Tak zwane trakty, wieledrogi, albo gościńce, były piaszczyste albo błociste głębokiemi kolejami poprzerzynane pasma. Gdzie wielka potrzeba wskazywała, tam i na milę długo kładziono w błota bezdenne całe tramy drzewa, chcąc takowemi mostami przejazd ułatwiać. Po takich drogach, biczując niemiłosiernie zaprzęgowe konie, obok okropnych klątew, wlekli się furmanie jako żołwie ze swemi wozami, a jeżeli dziś furman z ciężarem przeszło 30 centnarów, od wschodu do zachodu słońca na dobrej drodze snadno 6 lub 8 mil ujedzie, w owym czasie furmani z biedą i ledwie trzy mile zrobili.

Kiedy tak na granicy wystawiony konwój nudy swe zabawkami i gawędami skracał, tymczasem w zamku Tworogowskim siedział zarządzca dóbr hrabiego Kolonny Jan Szrajer, smutny, przy pulpicie pisarskim pochylony. Czerwonego abecadła, które mu był Krabel poborca powiatowy przesłał, niemógł nieborak nijako wysylabizować ani odgadnąć. Napisał on przeto do konsyliarza ziemiańskiego czyli landrata de Sak, swoje narzekania w następującej treści:

„Zamiastby powstać i po wielu wojennych ciężarach, trudach i kłopotach, nieco sił nabyć i ożyć, odbiera mi zapach tureckiego pieprzu ostatnie moje siły. Gotów jestem wszystkiego dostarczyć, i cokolwiek tylko potrzeba wymaga, według możności przysposobić, nawet i zwierzyny dostatkiem dostawić; ale do rzezi zdatnych wołów niemam, cieląt także, bo się na ten czas tylko jedno w tutejszym folwarku znajduje, to jest za mało. Co się reszty tyczy, o to się według mej możności postaram, oprócz świec woskowych; zaczem o obrusy stołowe również trudno będzie, bo się w zamku tutejszym tylko dwa stare ze sześciu serwetkami znajdują, inne więc z Toszeckiego zamku dopiero sprowadzone być muszą. Warzyw włoskich żadnych tu nie mamy, zwłaszcza, że tu na takowe ogród nie jest założony, bo powiadają, żeby one w pobliżu stawów nie rosły. Proszę więc uniżenie, indziej zarządzić o obrusy i zieleniny. Huzary nie pomieszczą się u nas. Według mego zdania, mogliby być jezdni żołnierze na Brynek posłani. Trudno będzie dać ordynansom tyle siana i owsa.‘‘

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

41) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Dalszych wyjaśnień odmówił Tyrolczyk stanowczo, i żądał tylko, aby uwiadomiono najbliższą stacyą policyjną w celu spisania protokułu o zamierzonej tutaj zbrodni. Strażnik kolejowy zatelegrafował więc natychmiast do Paryża prosząc o przysłanie policyantów i noszów.

Antoni, Felicya i Mignon udali się także do domku strażnika, Ramiro zaś znikł, jak gdyby go ziemia była pochłonęła.

Na poduszkach, wyjętych z powozu złożono tymczasowo zwłoki nieszczęśliwej Rozalii i ustawiono je w sieni.

Felicya, której siły zupełnie były wyczerpane, chciała uklęknąć i modlić się za duszę swej wybawicielki, nagle jednak, zachwiała się, i zemdlona upadła na ziemię.

Antoni zaczął ją trzeźwić!

Ale zemdlenie było tak głębokie, że wszelkie jego usiłowania były daremne. Felicya leżała, jak martwa.

— To nie jest proste zemdlenie, — odezwał się strażnik, — zdaje mi się, że trzeba doktora!

— O Boże! Zkąd ja się tu o lekarza mam wystarać! — jęknął Antoni.

— Umiesz pan szybko biegnąć?

— Ja wszystko umiem, gdy chodzi o życie tej pani!

— Więc posłuchaj pan mojej rady! Niedaleko ztąd leży wieś Bondieu. Mieszka tam tak zwany Jan — Zielnik — nie jest to lekarz, ale człowiek, znający się lepiej na sztuce leczenia ludzi, niż niejeden doktor. Zbiera on rozmaite zioła — ztąd jego nazwa i gotuje lekarstwa. Idźcie po niego, a on z pewnością tę panią uzdrowi! Może znajdziesz pan we wsi jaką bryczkę, będziesz mógł zatem wrócić prędzej!

Antoni nie namyślał się długo.

— Słuchaj pan, — rzekł do strażnika, — usłucham twej rady, ale mam zarazem wielką do ciebie prośbę! Czuwaj w mojej nieobecności nad tą panią! Jest to hrabina — powiem panu całą prawdę — była ona dawniej dworską damą cesarzowej austryackiej, która kocha ją bardzo i wynagrodzi hojnie każdego, kto tej biednej jaką przysługę wyrządzi! Czuwaj pan nad nią! Bo istnieje pewien nędznik, który czyha na jej zgubę, jest to ten sam, który chciał nas poprzednio zabić, stawiając powóz na szyny. Zniknął on wprawdzie chwilowo, ale przypuszczam, że ukrył się tu gdzie w pobliżu i zjawi się, gdy ja odejdę! Broń pan tej nieszczęśliwej kobiety w danym razie! Nie pożałujesz tego!

— Przyrzekam panu, że dopóki się ta pani znajduje w moim domu, dopóty nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Daję panu na to słowo!

Antoni uścisnął serdecznie dłoń strażnika, polecił raz jeszcze Mignon, aby nie opuszczała ani na chwilę Felicyi, i wyszedł.

Strażnik odprowadził go aż za ogródek, opisał mu dokładnie drogę do wsi i pożegnał, przyrzekając czuwać troskliwie nad Felicyą.

LXV.

Tak umiera uczciwy człowiek.

Strażnik wrócił do pokoju i usiadł przy kanapie, na której leżała zemdlona.

Miał on szczery zamiar dotrzymania danego słowa i pilnowania Felicyi. Piękność młodej kobiety i jej nieszczęście wzruszyły jego serce, i patrząc na tę śliczną, anielską twarz, nie pojmował, jak mogli istnieć ludzie, którzy pragnęli jej zguby!

Nagle dało się słyszeć głośne dzwonienie.

Aparat telegraficzny, znajdujący się w jego pokoju, powoływał go do obowiązku.

Strażnik przeczytał depeszę i zmarszczył czoło. Otrzymał on w tejże chwili rozkaz wyjścia na tor kolejowy w celu zbadania szyn. Obawiano się w Paryżu, aby z powodu nieszczęścia, jakie tam dziś zaszło, nie były szyny uszkodzone!

Urzędnik musiał usłuchać rozkazu!

Skinął więc na Mignon i gładząc pieszczotliwie jej czarne włosy, rzekł:

— Słuchajno, mała, zdaje mi się, że ty jesteś bardzo roztropna i mądra dziewczynka! Dlatego zostawiam cię tu z chorą — zamknę was w domu, aby nikt wejść nie mógł! Nie obawiaj się więc niczego, za kwadrans wrócę znowu, gdyby wam jednak niebezpieczeństwo jakie grozić miało, to weź ten oto rewolwer i wystrzel! Ja strzał usłyszę i przybiegnę natychmiast na pomoc.

Potem pokazał jej, w jaki sposób ma strzelić w razie potrzeby, i położywszy rewolwer na stole, wyszedł.

Mignon została sama z nieprzytomną i z umarłą!

Nie była ona wcale bojaźliwą. Przyzwyczajona oddawna do zarabiania na życie, nabrała dużo samodzielności, a będąc z natury sprytną i umysłowo bardzo rozwiniętą, umiała sobie w każdem położeniu radzić i nie oglądać się na pomoc innych.

Po wyjściu strażnika usiadła na kanapie przy Felicyi i ująwszy jej sztywne ręce, zaczęła je lekko trzeć, chcąc je cokolwiek rozgrzać.

Od czasu do czasu spoglądała też na rewolwer; ciekawość dziecięca nakłaniała ją do wzięcia broni i obejrzenia jej dokładnie, ale obawiała się, aby nieostrożnem dotknięciem nie nacisnęła sprężyny i daremnie strażnika strzałem nie przestraszała.

Po chwili zdawało jej się, że cień jakiś przesunął się za oknem, wstała więc, i zbliżyła się do okna, aby zobaczyć, czy strażnik już wraca.

I równocześnie usłyszała za sobą dziwny, głuchy dźwięk, i gdy przestraszona obróciła się, ujrzała Felicyą, siedzącą na kanapie i patrzącą w sufit szeroko otwartemi, błędnemi oczami.....

Widocznie starała się biedna zebrać myśli i przypomnieć sobie, jakim sposobem znajduje się tu, w tym domu, w zupełnie obcem otoczeniu.

Mignon ujęła jej rękę i pochylając się ku niej szepnęła:

— Pani hrabino, jesteśmy wszyscy ocaleni! Nie potrzebujesz się już niczego obawiać.

Felicya spojrzała na nią nieprzytomna i milczała.

— Pan Antoni, — mówiła Mignon dalej, — poszedł po doktora, ale wróci wkrótce. Wtedy pojedziemy wszyscy do Paryża! Ach, przemów pani chociaż jedno słowo, nie patrz na mnie tak okropnie!

Ale w następnej chwili zerwała się Mignon z głośnym krzykiem i uciekła w kąt pokoju.

Felicya wstała, potrząsła głową i zaczęła się śmiać tak strasznym śmiechem,że dziewczynka formalnie zdrętwiała z przerażenia.

— Ramiro, — krzyknęła Felicya, oglądając się po pokoju — tam — stoi on — wyciąga ręce po mnie, chce mnie porwać — ach, ratunku! ratunku! Ratuj mnie, cesarzowo! Chcą mnie zamordować, a ja doprawdy brylantów nie ukradłam! Antoni kocha mnie, ale ja nie mogę zostać jego żoną! Jestem shańbiona! Mój mąż jest zbrodniarzem!

Mignon załamała ręce. Nie wiedziała, co robić, ale domyśliła się, że Felicya ma napad obłąkania i że trzeba spiesznie ratować nieszczęśliwą.

Felicya wyszła teraz do sieni i zbliżyła się do ciała Rozalii.

— Umarłaś dla mnie, — szeptała, — wiem, słyszałam twój głos! Zazdroszczę ci, bo śmierć jest piękna! Czemu nie pozwoliłaś mi umrzeć?

Mignon pobiegła teraz za nią i wprowadziła ją znowu do pokoju.

— Pani hrabino! — zawołała z płaczem, — nie poznajesz mnie już wcale? Ja jestem Mignon! Kupowałaś odemnie kwiaty w kawiarni! O bądź tylko trochę cierpliwą, doktor przyjdzie zaraz! Połóż się pani na kanapie!

Felicya szła posłuszna, ale przechodząc koło stołu, ujrzała leżący na nim rewolwer.

Szybkim ruchem ręki schwyciła broń i wymierzyła ją przeciwko dziewczynce.

— Żmijo mała, — zawołała ochrypłym głosem, — ty mnie tu zwabiłaś w zasadzkę z polecenia Ramira! Teraz pomszczę się na tobie. Umrzesz za chwilę! Uklęknij i przygotuj się na śmierć!

Mignon, drżąca z śmiertelnego strachu, wykonała natychmiast jej rozkaz.

Była pewną, że nadeszła ostatnia jej godzina, bo Felicya trzymała zawsze jeszcze rewolwer w kierunku jej głowy i jedno poruszenie palca wystarczało, aby zakończyć życie biednego dziecka!

Nie było właściwie dla niej ratunku! Drzwi domu zamknięte na klucz — nie mogła więc uciekać — oknem też nie było jej, dla zbytnej wysokości, możliwem wyskoczyć, tak więc musiała czekać cierpliwie na tę śmierć okropną i niespodziewaną!

— Módl się, — krzyknęła Felicya.

Mignon złożyła ręce i zaczęła odmawiać pacierz.

— Prędzej! Chcę cię jak najrychlej zabić! Zdradziłaś i oszukałaś mnie!

— O moja biedna matko! — jękła Mignon, zalewając się gorącemi łzami, — już cię nigdy nie zobaczę! Jesteś teraz samą! A ja przecież nie popełniłam nic złego! Chciałam pomódz tej pani i teraz z jej ręki umieram!

Dziecko schyliło głowę, Felicya podniosła rewolwer i....

Nagle rozległ się w pokoju brzęk stłuczonego szkła, i przez okno wskoczył jakiś mężczyzna do pokoju.

W jednej chwili leżał rewolwer na ziemi, mężczyzna wytrącił go z rąk Felicyi.

Mignon była uratowaną, ale za jaką cenę!

Bo tym, który ukazał się tu jak jej zbawca, nie był nikt inny, jak — Ramiro, mąż Felicyi!

Widząc, że jego plan zabicia nieszczęśliwych nie udał się, ukrył się ten nędznik w bliskości domku strażnika i widział przez okno wszystko, co się w pokoju działo.



— Czego tu chcesz, szatanie — krzyknęła Felcya — czy przyszedłeś po to, aby mnie zamordować?...

Czekał cierpliwie na jaką korzystną sposobność wtargnięcia do tego domu, i cierpliwość jego została wynagrodzoną. Najpierw ujrzał wychodzącego Antoniego, potem strażnika i teraz miał drogę wolną! Zbliżył się spokojnie do okna, wybił szybę i po chwili stanął przed Felicyą.

Na widok męża odzyskała Felicya przytomność. Cofnęła się żywo, wyciągnęła ręce, a twarz jej przybrała wyraz śmiertelnego przerażenia.

— Czego tu chcesz szatanie! — krzyknęła. — Czy przyszedłeś po to, aby mnie zamordować? Bo dobrowolnie nie pójdę z tobą. Jesteś mordercą, fałszerzem, kłamcą, Pedro de Branca! Znam cię teraz i pogardzam tobą!

Ramiro uśmiechnął się złośliwie.

— Wszystko mi to obojętne, — rzekł. — Jesteś moją żoną i musisz iść ze mną, ja cię zmuszę do tego! Pragniesz iść do twej cesarzowej? Ależ ona każe cię natychmiast aresztować! Ona ci nie przebaczyła i nie wierzy w twoją niewinność! Tyrolczyk jest jej szpiegiem.....

— Kłamiesz! kłamiesz, — zawołała Felicya, — ja ci już nic nie wierzę! Każde słowo twoje jest kłamstwem! I nie pójdę z tobą! Dosyć już jestem shańbioną tem, że byłam twoją żoną, całe lata pokuty i modlitwy nie zetrą tej plamy ze mnie! Może kiedyś, kiedyś wybaczą mi ludzie ten największy grzech mego życia, ale ja go sobie nigdy nie wybaczę! Żona Pedra de Branca, mordercy!

— Ah, wiesz zatem wszystko? Powiedział ci ten sługa i szpieg cesarzowej, kto jestem i jak się nazywam? Tem lepiej! Tak, nie zaprzeczam nic! Jestem mordercą, ale kocham cię, i wymordowałbym świat cały, a nie wyrzekłbym się ciebie!

I schwyciwszy silnie jej ręce, uniósł ją jak dziecko, i zbliżał się do okna.

— Ratujcie mnie! — krzyczała Felicya. — Nie chcę wracać do tego piekła — nie chcę żyć z tym zbrodniarzem, ratujcie! Mignon! Antoni!

— Nikt cię tu nie usłyszy, — odrzekł Pedro. — Jesteś moją, razem ze mną będziesz żyć i razem ze mną zginiesz! Będziesz się ze mną tułać po świecie i znosić nędzę, bo nasze świetne życie już się skończyło, ale ja ciebie nie oddam nikomu! Nikomu!

Felicya nie przestawała się rzucać i szarpać i Pedro musiał się przy oknie zatrzymać, zanim się odważył na zeskoczenie na dół. Chodziło mu o to, aby mu się Felicya z rąk nie wysunęła.

Z tej chwili skorzystała Mignon.

Nie wiedząc, o czem Pedro właściwie mówi, poznała, że Felicyi wielkie grozi niebezpieczeństwo i postanowła strzałem przywołać strażnika na pomoc.

Gdy Pedro odwrócił się teraz do okna, podniosła szybko rewolwer, pobiegła do drugiego okna i z trudem wielkim strzeliła raz, jeden i drugi.

— Nie obawiaj się pani niczego, — zawołała uradowana, — pomoc blizko! On ci nic złego zrobić nie może!

I aby znaglić strażnika do szybkiego powrotu, wysunęła raz jeszcze rewolwer za okno i strzeliła po raz trzeci.

Równocześnie straszny krzyk przeszył powietrze!

— Boże Wielki! — zawołała Felicya, — coś ty uczyniła, Mignon? To był głos Antoniego! On chciał mnie ratować, a ty — zabiłaś go!

Pedro rozśmiał się głośno.

Mignon patrzała na Felicyą, jak gdyby nie rozumiała słów jej. Ona miała zabić kogoś?

I z głośnym płaczem upadła na ziemię.

Pedro tymczasem objął Felicyą w pół i szczęśliwie wyskoczył z nią oknem. Potem postawił ją ostrożnie, ale ręce jej trzymał mocno i opierającą się pociągnął za sobą w głąb ogrodu.

Nagle jednak potknął się o jakieś ciało i w tejże chwili dał się słyszeć cichy jęk..... Z nadludzką prawie siłą wyrwała Felicya ręce swe z żelaznych dłoni Pedra i rzuciła się na ziemię, obok ciężko rannego Tyrolczyka.

Antoni umierał.

Wracał on sam ze wsi — stary Jan nie chciał iść pieszo, a że szukanie koni dużo zajmowało czasu, przeto Antoni pobiegł naprzód, pragnąc jaknajprędzej być przy Felicyi. Przeczuwał on, że Pedro nie wyrzeknie się tak łatwo żony i był przygotowany na nowy napad z jego strony, nie myślał jednak, że to tak prędko nastąpi!

Gdy usłyszał pierwszy strzał, poznał od razu, że stało się tam coś nadzwyczajnego i zaczął biedz, jak szalony — drugi strzał świsnął mu nad głową, ale on na to nie zważał — trzeci zaś ugodził go w szyję i powalił na ziemię.

Krew obficie płynęła z rany, życie znikało z każdą kroplą — Antoni wiedział, że musi umrzeć!

(Ciąg dalszy nastąpi.)